CZWARTEK
Nr 4 4 III 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

KIEDY MISTRZYNI MA 15 LAT

Dziecko w koronie

Niedawno w moskiewskiej hali olimpijskiej odbyła się koronacja nowej absolutnej mistrzyni świata w gimnastyce. Na najwyższym podium stanęła drobna dziewczynka, niespełna 15-letnia Olga Biczerowa. Tak, jak w 1972 roku fenomenalna Olga Korbut, tak teraz jej imienniczka z Moskwy okazała się cudownym dzieckiem sportowej gimnastyki. Jej zwycięstwo było sensacją, bowiem poważniejszych kandydatek do tytułu nie brakowało; Elena Dawydowa, Natalia Ilienko, Maxi Gnauck... A jednak nie Elena, nie Natalia, i nie Maxi, a Olga uczyniła na sędziach największe wrażenie i po ostatnim ćwiczeniu komputer zakomunikował, że mistrzynią została Biczerowa.

Sport dla dzieci?

Gimnastyka, podobnie jak pływanie jest sportem, w którym mistrzostwo osiąga się w bardzo wczesnym wieku, często w dzieciństwie. Specyfika tych dyscyplin wymaga bowiem predyspozycji, które dziewczyna czy chłopak posiada w okresie dojrzewania, a traci w wieku dorosłym. W gimnastyce szczególnie. Tu niesłychanie istotną rolę odgrywają warunki fizyczne. Im lżejsza zawodniczka, tym większa łatwość wykonania trudnego elementu, im bardziej gibkie i elastyczne mięśnie i kości, tym efektowniejsze ćwiczenia. Dlatego też większość gimnastyczek światowej klasy to nastolatki, nierzadko dzieci jeszcze. Olga Biczerowa mierzy ledwie 138 centymetrów, waży niespełna 30 kilogramów.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Fot. **CAF**

BĘDZIE MUZEUM HARCERSTWA?

W warszawskim Muzeum Woli, w miejscu, gdzie eksponowana była pierwsza na skalę ogólnopolską wystawa „70 lat Harcerstwa Polskiego" spotkali się jej organizatorzy, harcerze – seniorzy, którzy wystawie patronowali oraz właściciele eksponatów. Celem spotkania była próba oceny wystawy oraz dyskusja na temat perspektywy utworzenia Muzeum Harcerstwa.

Pomysł przygotowania jubileuszowej ekspozycji powstał wśród instruktorów Hufca Warszawa-Mokotów im. Szarych Szeregów. W ciągu zaledwie trzech miesięcy zdołano zebrać kilka tysięcy eksponatów, nie wszystkie jednak z braku miejsca można było pokazać. A i w czasie jej trwania nadchodziły wciąż nowe. Wystawa, jak wiadomo, była imponująca. Szczególne wrażenie zrobiła na najmłodszym pokoleniu harcerzy, którzy dopiero tutaj mieli możliwość zapoznania się z historią i dorobkiem swojej organizacji. Warszawska ekspozycja podziałała jak drożdże, w ślad za nią na terenie całego kraju zaczęły powstawać wystawy regionalne. W sumie było ich 25.

Większość eksponatów, które zostały wypożyczone dla zorganizowania tak warszawskiej, jak i innych wystaw pochodzi od osób prywatnych. Wrócą więc do swoich właścicieli, bo dotychczas nie ma żadnego archiwum, muzeum, które by te pamiątki gromadziło dla przyszłych pokoleń. Utworzenie Muzeum Harcerstwa jest więc pilną koniecznością!

Zebrani w Muzeum Woli druhowie podjęli uchwałę:

„My, niżej podpisani, mając na względzie dotychczasowe prace nad wystawiennictwem harcerskim, zapoczątkowane na skalę ogólnopolską „70 lat Harcerstwa Polskiego" w Muzeum Woli w Warszawie w okresie od 11.IV. do 30.IX.1981 r., uznajemy za konieczne utworzenie stałego Muzeum Harcerstwa w Warszawie. Muzeum stanie się jednym z elementów systemu muzealnictwa harcerskiego w Polsce.

Działania w sprawie utworzenia Muzeum winny pójść w kierunku powołania Społecznego Komitetu Organizacyjnego, w skład którego wejdą ludzie mający duży autorytet w środowiskach harcerskich, dającego gwarancję wiarygodności powstającej ekspozycji oraz rozpoczęcia zbierania eksponatów przez kompetentne instytucje naukowe.

Wzywamy wszystkich, którym drogie są tradycje narodowe, do poparcia naszej akcji. Bezcenne materiały, zarówno te, które udało się zebrać organizatorom wystaw harcerskich, jak i te, które pozostają w rękach prywatnych, nie mogą ulec zniszczeniu".

Podpisało tę uchwałę ponad 80 osób będących na spotkaniu. Wierzymy, że ta społeczna inicjatywa znajdzie poparcie i pomoc naszych władz harcerskich, że do tworzenia Muzeum włączy się także młode pokolenie harcerzy.

(mj)

Teatr Młodego Widza powstał w Bydgoszczy

BYDGOSZCZ (PAP). Serią występów Centralnego Zespołu Artystycznego ZHP „Gawęda" rozpoczęła działalność najmłodsza scena Bydgoszczy – Teatr Młodego Widza. Znalazł on siedzibę w gmachu Wojewódzkiego Domu Kultury, którego salę widowiskowo-kinową przystosowano do potrzeb teatralnych.

Działalność sceny dla najmłodszych opierać się będzie na gościnnych występach, profesjonalnych i amatorskich zespołów z całego kraju. Stałym jej gościem będzie teatr „Baj Pomorski" z Torunia, zapowiedziano również występy lalkowych scen Warszawy, Poznania, Olsztyna, Białegostoku. W nowym teatrze prezentować będą swój dorobek również regionalne zespoły pieśni i tańca oraz młodzieżowe amatorskie grupy teatralne działające w wielu placówkach regionu.

Zrekonstruowano już znaczną część zabytkowych organów Kaszub

KRAKÓW (PAP). W krakowskiej pracowni konserwacji zabytków fachowcy rekonstruują unikalne w skali Europy organy pochodzące z Kaszub. Wykonał je w roku 1764 Gotfryd Weinert. Ten bardzo zniszczony, używany pierwotnie najprawdopodobniej w obiekcie świeckim instrument przywieziono do Krakowa w jesieni 1980 roku. Do dziś zrekonstruowano już cały prospekt organów, składający się z metalowych piszczałek i wielu ozdobnych elementów rzeźbiarskich. Instrument, który nie ma sobie równego w Polsce posiada pięć głosów po 45 metalowych i drewnianych piszczałek każdy.

Właścicielem tego cennego zabytku jest Państwowa Filharmonia im. Ignacego Paderewskiego w Bydgoszczy. Na własność otrzymała go od kurii biskupiej w Pelpinie. Organy po całkowitej rekonstrukcji uzupełnią bogatą i jedyną w kraju kolekcję starych, wykonanych w Polsce instrumentów muzycznych, których gromadzeniem od lat zajmuje się właśnie bydgoska filharmonia.

POWOŁANA ZOSTAŁA OGÓLNOPOLSKA KOMISJA SPORTU MINIKAROWEGO

W siedzibie naszej redakcji odbyła się niedawno narada działaczy związanych ze sportem minikarowym. Reprezentowali oni najlepiej pracujące ośrodki w kraju – Cieszyn, Kłodzko i Starachowice. Na naradzie postanowiono powołać **Ogólnopolską Komisję Sportu Minikarowego**, której celem będzie dalsze propagowanie minikarów oraz czuwanie nad prawidłowym przebiegiem poszczególnych imprez. W związku z tym dokonano modyfikacji obowiązujących dotąd regulaminów. OKSM ustaliła również, że w zawodach klubowych (organizowanych przez kluby), mistrzowskich (regionalne lub ogólnokrajowe) i międzynarodowych będą mogli startować tylko kierowcy posiadający licencję minikarową (aby ją zdobyć należy posiadać kartę rowerową i „zaliczyć" trzy starty w zawodach tzw. popularnych, a więc dostępnych dla wszystkich). Zawodnik z licencja posiada swój stały numer startowy, obowiązujący go na poszczególnych imprezach.

Komisja dokonała takżego nowego podziału na kategorie wiekowe: kategoria 0 – 6–8 lat, kategoria 1–9–12; kategoria 2–13–16; kategoria 3 – 17–19. Ustalono też dwie kategorie dla dziewcząt: 1D – 9–12 lat i 2D – 13–16 lat.

Wszystkim imprezom patronować będą „Świat Młodych" i „Kalejdoskop Techniki". Przedstawiciele obu tych redakcji weszli również w skład OKSM. **(zp)**

Fot. **J. Łopuszyński**

Ogólnopolska Komisja Sportu Minikarowego. Siedzą od lewej: Jan Grudniewski (Starachowice), Eugeniusz Puterko, Czesław Czułowski, Henryk Zubrzycki (wszyscy Kłodzko), Sylwester Staniszewski (Starachowice), Władysław Drąg i Władysław Bubik (obaj Cieszyn). Na zdjęciu brak przedstawicieli GK ZHP „Kalejdoskopu Techniki" i „Świata Młodych".

– to temat kolejnego konkursu na najlepszy list, który zaproponowaliśmy Wam w 120 numerze „ŚM" w ubiegłym roku.

- Czy w wolną sobotę robisz to co lubisz, czy to co musisz?
- Może wspólnie z kolegami zorganizowałeś jakąś zgraną grupę i ciekawymi pomysłami chcesz się podzielić z innymi?
- A może w wolne soboty wolisz przebywać sam i sam potrafisz sobie ciekawie wypełnić czas? Co wtedy robisz?
- Czy marzysz o innych wolnych sobotach? Jakie są te marzenia?

Napisz szybko list biorąc pod uwagę nasze pytania. A może poinformujesz nas o sprawach, o które nie zapytaliśmy, a według Ciebie warto je przekazać do ogólnej wiadomości? Czekamy na listy, a na autorów najciekawszych korespondencji czekają atrakcyjne nagrody – wieczne pióro Naczelnego Redaktora, długopisy, flamastry, kolorowe znaczki „ŚM".

Na kopercie napisz: „Wolna sobota".

Dziś rozpoczynamy druk najciekawszych listów, które otrzymaliśmy w pierwszym etapie konkursu.

Konkurs na korespondencję

POMYSŁ NA WOLNĄ SOBOTĘ

MARZENIA...

...Wolna sobota. Jedziemy szkolnym autobusem „poznawać siebie" – jak powiedział „dyrcio." Jedzie cała VIIIa, śpiewamy. Jest przyjemnie. Podziwiamy piękno Warmii i Mazur. Patrzymy na świat oczami poetów. Z ciekawych opowiadań historyczki dowiadujemy się o losach miast i wsi. Rozumiemy już rzeczy, które były dla nas obce. Jesteśmy bojaźliwymi księżniczkami i dzielnymi rycerzami, gdy wychowawca obrazuje nam opowiadaniem dzieje jednego z zamków. Widzimy przechadzającego się po Fromborku Kopernika.

– Dzień dooobry, mądry panie! – krzyczymy.

– A, dobry, dobry – odpowiada nam.

Ze śpiewem jedziemy dalej. Przeobrażamy się w sprytne sanitariuszki i dzielnych partyzantów, gdy dyrektor opowiada nam o losach ludzi lasu. I znowu. Rok 1410. Grunwald. Chłopcy gestykulując, pokazują jakby to oni „dali bobu" Krzyżakom...

Ale, ale, co to... gdzie ja jestem?

Łóżko? Co robię w łóżku?

– Basiu, wstawaj, już dziesiąta – słyszę głos mamy. Myślisz, że jak masz wolną sobotę, to jesteś wolna? (żartuje mama). A ja jeszcze żyję pięknem Mazur, staję się artystką-poetką, gdy stąpam po warmińskich łąkach...

– Basiu, no, wstawaj – nalega mama. Już czas.

Tak, wolna sobota, ale nie ta, którą spędziłam we śnie. Nie ta... A może ta wolna sobota ze snu się ziści? Może będzie realna?

P.S. Opowiadanie jest o tym, jak chciałabym spędzić wolną sobotę.

...I RZECZYWISTOŚĆ

Godzina dziewiąta. Wstaję. Ranna toaleta. Oglądam „Sobótkę". Myślę – co będę robiła dzisiaj? Aha! To dzisiaj jedziemy na rozgrywki sportowe. Jak zagospodarować czas przed i po rozgrywkach – rozmyślam, spożywając śniadanie.

– Już wiem! (Nie jestem żadnym pomysłowym Dobromirem, ani Pszczółką Mają, która wie co robić z czasem. Po prostu „wleciał" mi pomysł tak jakoś). Przygotowanie materiałów do gazetki też będzie pożyteczne. Następnie wyjadę na te rozgrywki. Też frajda. Lepiej jechać, niż siedzieć w chacie i nudzić się. Po rozgrywkach... właśnie, co po...?

„Odpocznę" w kolejce po mięso, czytając „lekką" książkę. Pójdę do Funi (koleżanki). Pogadamy o tym, o tamtej... Zlecą jakieś dwie godziny. Połażę po ulicach. Skoczę gdzieś „w przyrodę". Może sama, może paczką? Nie wiem. Wiem tylko, iż nie będę myślała o szkole. Odświeżę umysł. Skoczę do biblioteki, wymienię książki. No tak i już wieczór. Przeleciało kilkanaście godzin z tych dwudziestu czterech, ani się obejrzałam, przede mną niedziela. A w niedzielę... To już inna sprawa.

Dorota

P.S. Opowiadanie jest o tym jak naprawdę spędzam soboty.

NIC, TYLKO SZARE, ZWYKŁE DNI

Wolną sobotę spędzam smutno. Wstaję rano i idę po pieczywo. Jem śniadanie, sprzątam, wychodzę z psem na spacer. Oglądam telewizję, czytam książkę. Wieczorem słucham płyt i oglądam film. Jem kolację i idę spać. No i tak mija moja wolna sobota. A przecież tak długo na nią czekałam. Z przyjaciółmi układam setki planów, jak spędzić dwa dni, jak wypocząć od książek, zeszytów, liczb i liter. Marzyliśmy: będziemy jeździć na biwaki i wycieczki, chodzić na pływalnię; będziemy pomagać starym osobom w ich pracach domowych. A jak jest naprawdę? Gdy chcę im coś zaproponować, zaraz słyszę „...ja nie mogę", „...w tę sobotę jadę do babci..." Komuś tam znów po prostu się nie chce. A gdyby tak złączyć się w grupę i coś zorganizować, gdzieś pojechać? Cóż można zrobić, gdy nawet zbiorę trójkę przyjaciół? Nic, nie możemy jechać na biwak, zorganizować zawodów. A więc mijają nam wolne soboty i nic nam po nich nie zostaje, żadne przygody i osiągnięcia.

Anna Krumplewska
ul. Dąbrowskiego 10/4
66-620 Gubin

REPORTER Świata Młodych

Dalej niż własny nos

Z „POLNYCH KWIATKÓW" BĘDĄ LUDZIE

Pani mgr Izabella Miernik, nauczycielka w szkole podstawowej, harcmistrz instruktorka Hufca ZHP w Suchedniowie, szczególnie wyróżnia się wśród znanych mi osobiście ludzi, którzy patrzą dalej niż na koniec swojego nosa. Z własnej inicjatywy uczy i opiekuje się najmłodszymi dziećmi, które są mniej zaradne i wymagają więcej troski wychowawcy.

Poza obowiązkowymi godzinami nauki i zajęć pomaga wielu dzieciom. Obdarowuje je książkami z własnej biblioteki, przyborami szkolnymi i nie szczędzi słów otuchy, pocieszenia, mimo że ostatnio zdrowie jej nie dopisuje. Największe sukcesy osiągnęła w pracy z drużyną zuchów o wdzięcznej nazwie „Polne kwiatki". Ta drużyna kilkakrotnie zdobyła tytuł drużyny mistrzowskiej, uzyskując po drodze liczne sprawności: „Górnik", „Iskra", „Aktor" i odznaki „Zuch na piątkę". Chociaż ciasnota i inne dalekie od komfortu warunki w szkole poważnie utrudniają działalność „Polne kwiatki" zbierają wyróżnienia w Turniejach Wiedzy Obywatelskiej i nawet dystansują starszych kolegów.

Pani Miernik uczy wychowanków wytrwałości i patriotyzmu również na tradycjach i historii rodzinnego miasteczka. Suchedniów to od XVII wieku ośrodek górniczy (rudy żelaza, gliny ceramiczne, kamieniołomy) i metalowy (kuźnice, fryszerki, odlewnie, fabryka maszyn i urządzeń, SHL), którego szczególny rozwój miał miejsce w „epoce staszicowskiej". Suchedniowianie zasłynęli udziałem w Powstaniu Styczniowym, a w latach okupacji hitlerowskiej działalnością partyzancką i tajną wytwórnią pistoletów „sten".

Jerzy Świtek

Długo zastanawiałam się nad wyborem osoby, która widziałaby dalej „niż własny nos". Muszę przyznać, że ludzi takich jest dość mało. Jednak po wytrwałych poszukiwaniach natrafiłam na informację. W pobliskiej wsi dowiedziałam się o działalności jednej pani, która bardzo pomogła mieszkańcom, a głównie matkom. Wszyscy sobie doskonale zdają sprawę, że podczas lata na wsi jest bardzo dużo pracy, a kobiety, które mają małe dzieci i nie ma kto się nimi zaopiekować, są w trudnej sytuacji. Problem ten rozwiązała nauczycielka, która zupełnie bezinteresownie zaofiarowała swoją pomoc. Postanowiła założyć coś w rodzaju „mini przedszkola". Zlokalizowane ono miało być w szkole, w której ta pani uczyła. Z pomocą przyszło jej Koło Gospodyń Wiejskich, które zajęło się załatwianiem różnych spraw z tym związanych. Pomogły też dziewczęta z drużyny a pewna pani zgodziła się na przygotowywanie posiłków dla dzieci, oczywiście z produktów dostarczonych przez rodziców.

„Mini przedszkole" zaczęło funkcjonować na początku sierpnia. Po tygodniowej działalności, wszyscy byli zgodni co do tego, że jest to wielkie udogodnienie dla mieszkańców. To, co opisałam jest wystarczającym dowodem, że można zrobić wiele pożytecznych rzeczy. Trzeba tylko chcieć!

Moja propozycja jest następująca: Rozejrzyjcie się wkoło. Może i Wy dostrzeżecie jakieś nie cierpiące zwłoki sprawy, których załatwienie przyniosłoby pożytek innym? Wierzę, że wiele znajdzie się takich osób, które z entuzjazmem poprą moją propozycję.

„Sama"

P.S. Umyślnie nie podawałam w mojej wypowiedzi nazwisk poszczególnych osób, gdyż uważam, że najważniejsza jest inicjatywa.

LICZY SIĘ INICJATYWA

Będą mieli satysfakcję

Kilka lat temu Urząd Miasta i Gminy podjął decyzję aby do naszej miejscowości doprowadzić gaz ziemny. W tym roku został powołany Społeczny Komitet Gazyfikacji, który ma zadanie doglądać jak przeprowadzane są roboty, sprawdzać brygady robotnicze, zbierać pieniądze za doprowadzenie gazu, itd. W komitecie tym pracują ludzie od trzydziestu do sześćdziesięciu lat. Praca tych ludzi wydaje się pozornie łatwa, ale w rzeczywistości tak nie jest. Muszą się bardzo dużo denerwować, bo często – coś lub ktoś „nawala".

Pracy tej wykonywać nie muszą, a jednak czynią to **za darmo.**

Wojtek
Goczałkowice
Zdrój

REDAKCYJNA POCZTA

Czy za jedno przewinienie muszę pokutować całe życie?

Mam szesnaście lat. Pół roku temu wyszedłem z Zakładu Poprawczego. Po odbyciu kary postanowiłem kontynuować naukę. Co z tego, że moje chęci są szczere, skoro nowe środowisko wręcz uniemożliwia mi życie. W szkole stosunek profesorów i uczniów jest do mnie jednoznaczny. Wszyscy uważają, że jestem potencjalnym zbrodniarzem. W domu sytuacja również jest ciężka – opiekę nade mną sprawuje ciotka, która wszystkim opowiada o mojej „zepsutej moralności". Czuję, że gdyby ktoś darzył mnie choć jakim takim uczuciem, wszystko potoczyłoby się inaczej. W obecnej sytuacji pozostaje mi jedno – powrót do dawnego środowiska. Nie winię mojej ciotki za brak uczuć, bo trudno darzyć sympatią kogoś, kto wraca do domu podpity. Czuję się niepotrzebny, i chcę wzbudzić jakieś zainteresowanie swoją osobą. Może czynię to złymi sposobami, ale na nic więcej nie daje mi się szans. Prócz docinków na temat odbywanej kary rówieśnicy dokuczają mi jeszcze z tego powodu, że nie mam rodziców. Tak, jakby to ode mnie zależało. Nazywają mnie bękartem. Jak więc widać, moje życie nie jest wiele warte. Chciałbym dać do zrozumienia tym wszystkim, którzy mnie otaczają, że to od nich właśnie w dużej mierze zależy, co ze mną będzie dalej. Oni jednak pojąć tego nie chcą, a ja załamuję się coraz bardziej.

Paweł

Jak przekonać koleżankę o konieczności chodzenia do szkoły?

W naszej klasie jest dziewczyna, która drugi rok powtarza szóstą klasę. Do szkoły chodzi gorzej niż w kratkę. Jej wagarowanie można już nazwać nałogiem. Ten nałóg zna cała szkoła. Niektóre dziewczęta tłumaczą jej, że tak postępując nic w życiu nie osiągnie. Namawiamy ją do nauki, staramy się być dla niej mili. Na jej temat rozmawialiśmy na lekcji wychowawczej. Obiecała poprawę i nie dotrzymuje obietnicy. Cała klasa chce pomóc naszej zagubionej koleżance. Zupełnie jednak nie wiemy, w jaki sposób. Może ktoś ma dla nas jakieś propozycje?

Bezsilni

Biuro POD działa:

Poszukuję... **podręcznika do historii dla kl. VIII.** Mogę odstąpić **podręczniki dla kl. VIII do nauki języka polskiego: pt. „Ta ziemia od innych droższa" i „Język ojczysty".**

Renata Loch
ul. Langiewicza 17/12
28-200 Staszów

...Podręcznika do historii dla kl. VIII bezzskutecznie od dłuższego czasu poszukuję:

Zofia Sitowicz
ul. Holendry 4
16-080 Tykocin

Mogę odsprzedać **podręczniki do geografii i śpiewu dla kl. V.** Chcę odkupić **podręcznik do zajęć praktyczno-technicznych, też do kl. V.**

Barbara Olszewska
ul. Szpitalna 17a/5
41-250 Czeladź

Przyjaciół poznaje się w biedzie...

INTEGRACJA GOSPODARCZA RWPG CZYLI JEDEN ZE SPOSOBÓW NA KRYZYS

Jak poinformował rzecznik prasowy Komisji Planowania przy Radzie Ministrów w marcu br. ma być zakończone opracowanie programu rozszerzenia współpracy gospodarczej z krajami RWPG. Za owym sucho sformułowanym komunikatem kryją się treści, które rozszyfrowane okazują się obchodzić nie tylko specjalistów ekonomiczno-gospodarczych. Bardzo możliwe, że od szybkiej realizacji już zawartych i zawieranych z krajami socjalistycznymi umów zależy i zależał los wielu zakładów pracy i ich załóg.

Członkiem Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej jesteśmy od dawna, od lat wykonujemy zadania wynikające z przyjętych specjalizacji międzynarodowych (specjalizując się np. w produkcji statków rybackich), dlaczego więc sprawa ta nabrała w ostatnim czasie tak szczególnego znaczenia? Powody są dwa: jeden to zła sytuacja gospodarcza, a co za tym idzie ograniczone możliwości płatnicze naszego kraju, drugi to dodatkowo skomplikowana po 13 grudnia ubiegłego roku sytuacja w handlu i więzach gospodarczych z krajami zachodnimi. Sprowadza się to do faktu, że nie mamy pieniędzy na wszystkie potrzebne w normalnej produkcji surowce i elementy dotychczas kupowane w strefie dolarowej. A nawet gdybyśmy je mieli, to prowadzona od chwili ogłoszenia stanu wojennego antypolska kampania na Zachodzie wydała już owoce w postaci utrudnień, a nawet uniemożliwienia dokonania stosownych zakupów. Wielu fabrykom pracującym w oparciu o te surowce i maszyny groziło po prostu przerwanie produkcji. Mogło to oznaczać tylko jedno: dalsze straty finansowe dla kraju, redukcje pracowników, ludzkie dramaty związane z wymuszoną sytuacją zmianą zawodu czy przenosinami do innych miejsc zamieszkania.

W tej sytuacji zwróciliśmy się do naszych RWPG-owskich partnerów z propozycjami zawarcia nowych, rozszerzonych umów gospodarczych. Pierwsze kontrakty zostały już podpisane. Wiele następnych znajduje się w ostatniej fazie uzgodnień.

Umowy z krajami socjalistycznymi przewidują generalnie trzy sposoby udzielenia Polsce pomocy. Pierwszy to przyznanie dodatkowych pożyczek w tzw. twardej walucie, niezbędnej do sfinansowania niektórych zakupów w krajach kapitalistycznych. Dotyczy to np. zakupu za dolarową gotówkę elementów hydraulicznych do produkowanych w Zakładach im. Waryńskiego maszyn budowlanych. Elementy owe nie dają się niestety zastąpić bez szkody dla finalnego produktu innymi. A bez nich dźwigi czy koparki albo w ogóle nie mogłyby opuścić hal fabrycznych, albo też pracując w oparciu o inne podzespoły spalać by musiały więcej importowanego paliwa, szybciej ulegając przy tym zużyciu i awariom.

Sposób drugi, między innymi z paliwami związany, to umożliwienie Polsce dokonania w ramach RWPG niektórych zakupów ponad uprzednio zawarte umowy. W ostatnich tygodniach prowadzone były rozmowy z naszymi największym partnerem gospodarczym, Związkiem Radzieckim, na temat dodatkowych dostaw ropy naftowej. Dzięki niej możliwe było odtworzenie niezbędnych dla każdego państwa, a mocno nadszarpniętych uprzednio, rezerw i uruchomienie motoryzacji indywidualnej. Niemiecka Republika Demokratyczna dostarczyła nam na podobnej zasadzie odzież dziecięcą, a stało się to w chwili, gdy jej brak na rynku stał się szczególnie dotkliwy. Z Węgier nadeszły transporty proszków do prania. Podobnych przykładów można by zresztą podać więcej, tu jednak chodzi o zasadę – te zakupy nie były przewidziane przedtem, a jednak do Polski dotarły i jak się przydały, nikomu chyba tłumaczyć nie trzeba.

Sposób wreszcie trzeci udzielenia nam pomocy to zastąpienie dotychczasowych kooperantów z państw kapitalistycznych przez partnerów z Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Oto na przykład Polska specjalizując się w produkcji układów chłodzenia dla elektrowni atomowych stanęła w pewnym momencie przed perspektywą zawieszenia tej produkcji. Poszło o cieniutkie rurki, stosowane w tych zakładach. Muszą być one wykonane ze specjalnych, rzadkich, wytrzymałych, a przez to bardzo drogich materiałów. Dotychczas importowaliśmy je z Zachodu. Okazało się jednak, że równie dobrymi surowcami dysponuje Związek Radziecki. Zwróciliśmy się doń z propozycją zawarcia nieprzewidzianej przedtem umowy – i umowa ta została już podpisana.

Prawdziwych przyjaciół naprawdę poznaje się w biedzie. Co oczywiście nie oznacza, że nasz kryzys rozwiążemy licząc na innych, zawierając dodatkowe, awaryjne umowy handlowe. Może się jednak okazać, że te, które zawarliśmy ostatnio, były właściwsze od poprzednich. Gospodarka polska znajduje się w okresie wielu zmian i przewartościovan. Będziemy jeszcze nieraz do tego tematu wracali.

MAREK ZARĘBSKI

SAMEMU ROZPALIĆ OGNISKO

Wygląda na to, że całe dziesięć lat po prostu przespałem! Czy nieświadomość może usprawiedliwić ten stan? Dopiero przy tamtym ognisku, czerwcową nocą jakby mnie coś tknęło.

Na polanie podlubelskiego lasku znalazłem się przypadkowo. Zaciągnął mnie kolega. Chodź, Wojtek, poznasz fajnych ludzi – mówił. Przyznaję, poszedłem bez wielkiego entuzjazmu. Nie tak łatwo znaleźć mi się wśród nieznajomych. A jeszcze bardziej zmroziła mnie informacja, że to zgrana od wielu lat paczka. I jakież było moje zdziwienie. Cześć stary! Hej, jak się masz – usłyszałem. A w kilka minut potem ciągnąłem wielką gałąź z nowym kolegą. Tak. Byli tak samo jak ja harcerzami. I aż wstyd mi się dziś przyznać, że słuchając piosenek, których znali mnóstwo, patrząc na to jak się bawili, jak było im najwyraźniej ze sobą dobrze, najzwyczajniej w świecie poczułem zazdrość. Jak to, dziwiłem się. Nie są w jednej drużynie. Każdy na innej uczelni i... mają ochotę na takie zwykłe, nie, wspaniałe spotkania?!

Moją edukację harcerską rozpocząłem jako zuch. Zdobywaliśmy jak inni gwiazdki, sprawności. Przyrzeczenie? Tak. To było jakieś przeżycie. Potem należałem do drużyny MSR. Bo inni z klasy też należeli. I tak na dobrą sprawę nic we mnie nie zostało z tamtego okresu. Przejście do szkoły średniej i... znów jak inni, bez entuzjazmu, ale i bez oporów zostałem wcielony do drużyny klasowej. Nasze „bujne" harcerskie życie sprowadzało się do opieki nad jakimś pomnikiem, obsługiwania jakichś akademii, wręczania kwiatów z jakiejś okazji. Wszystko więc szło gładko i po myśli... Po myśli tych, którym tak podobały się harcerskie mundurki i lubili, żeby uroczystość, obojętnie jaka, miała oprawę. Ponieważ wszystko szło tak dobrze, zaproponowaną mi funkcję zastępcy komendanta szczepu przyjąłem z zadowoleniem. Przypominam sobie, że raz, tak, raz, jakby coś się we mnie poruszyło. Zorganizować coś, wypad wspólny, rajd? Zabraliśmy się nawet z kolegą do tego. Ale po wysłuchaniu od opiekuna jakie i ile papierków, podpisów mamy zebrać... machnęliśmy ręką. I znów „harcowaliśmy" w spokoju.

I wtedy właśnie to ognisko. Pierwsze prawdziwe ognisko, wokół którego siedzieli ludzie mający sobie coś do powiedzenia. Byli starsi ode mnie, ale jak się bawili! Pierwsza to lekcja jak bez okazji, bez pompy rozpalić można ułożony własnoręcznie stos gałęzi. I tak myślę, że poza zazdrością poczułem złość na siebie, na swoich kolegów. Za to przesypianie, za własnowolne skazanie się na funkcje małpek w mundurkach.

To było w czerwcu. W sierpniu znalazłem się po raz pierwszy na obozie. Na Centralną Akcję Szkoleniową kierowano najaktywniejszych harcerzy. Pewnie, że śmiechu warte, skąd ja do tych najlepszych... Mnie do śmiechu nie było. Bałem się. Nic przecież nie umiałem. Tym razem jednak usprawiedliwieniem dla mnie samego była chęć poznania. I już po kilku dniach wydawało mi się, że kolegów z obozu znam już dobrze. Czułem u wszystkich życzliwość i chęć bycia zgraną grupą. Wraz z poznawaniem tajemnic pionierki, terenoznawstwa, otwierała się przede mną tajemnica znacznie ciekawsza. Tajemnica atmosfery tamtego czerwcowego ogniska. I postanowiłem, że po wakacjach, w szkole dokonam tego. Stworzę drużynę – paczkę zgranych ludzi. Mój entuzjazm rósł w miarę zbliżania się końca obozu. Przecież w ciągu tak krótkiego czasu zupełnie obcy stali się sobie potrzebni, mieli z sobą tyle wspólnego. Inaczej ja, analfabeta harcerski, obozowy nowicjusz (wszystkie wakacje spędzałem na wsi i nie czułem potrzeby zmiany) nie przebrnąłbym przez wcale niełatwy miesiąc. Tu nie można było stać z boku w roli obserwatora. Tu nas pytano, czego chcemy. Tak więc pełen nadziei wróciłem do swojego technikum. I już we wrześniu na pytanie kto z naszej III klasy chce należeć do ZHP wszyscy odpowiedzieli twierdząco. Jedni, dlatego, że należeli przedtem, drudzy, dlatego, że ci pierwsi... Ja, dlatego, że miałem nadzieję i pomysły w zanadrzu. Wyłamał się tylko Piotrek, który pełnił funkcję drużynowego. Powiedział: Nie wierzę, że wszyscy chcą bawić się w harcerstwo. I miał rację. Bo zaraz za nim, jedynym odważnym, co najmniej połowa klasy zrezygnowała. Tę drugą połowę zebrałem po lekcjach. Opowiedziałem o obozie i namówiłem na spotkanie. Przyszło ich dziewięciu, z dwudziestki.

Pierwsza zbiórka odbyła się u mnie w domu. Myślałem, że tu będzie łatwiej rozmawiać. Szkoła to szkoła i od razu nastraja zbyt urzędowo. Następne spotkanie – ognisko z pieczeniem kartofli. Tak się umówiliśmy. Chodziłem jeszcze po klasach pierwszych. Zgłosiło się następnych dziesięciu. Z trudem ustaliliśmy termin dobry dla wszystkich. I... w tę niedzielę, o której myślałem cały tydzień, zjawiłem się w umówionym miejscu z mapką i zaszyfrowanym zadaniem (chciałem zaciekawić, zaintrygować). Do polanki w Konopnicy doszliśmy... we dwóch z Arturem. Tak. Nikt więcej nie przyszedł. Rozpaliliśmy ognisko, a jakże, piekliśmy też kartofle. Miła to wycieczka ale... To pierwsze podejście... przegrałem. Nie potrafiłem wtedy odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego nie wychodzi.

Podejmowałem jeszcze kilka razy rozpaczliwe próby znalezienia ze szkolnymi kolegami tego, co mnie tak zafascynowało w harcerskim życiu, którego zaledwie liznąłem. Następne dwa spotkania w domu nic nie zmieniły i...

Któregoś dnia przechodziłem przez swoje osiedle. Tłumy dzieciaków biegały między blokami. Nie znałem tu jeszcze nikogo. Nowe osiedle. Nowi mieszkańcy. Przeleciała mi przez głowę myśl. Do diabła, czy musiałem uczepić się szkoły? Nie wychodzi? To daj sobie spokój. Może w osiedlu. Może?... Myśl przyszła i odeszła. Ale widać nie odeszła za daleko. Po kilku dniach na tablicy ogłoszeń w moim bloku przeczytałem informację zawiadamiającą o zebraniu, na które zapraszano mieszkańców. A gdyby tak pójść na zebranie? Przynajmniej posłuchać. A może zdobędę się na jakąś propozycję? Nie, nie mam w głowie nic sprecyzowanego i do tego boję się rozmawiać z obcymi. Ale przecież, u licha, inaczej wszystkie wspaniałe przeżycia, doświadczenia, entuzjazm, z jakim wróciłem z obozu, wszystko to przepadnie. Znów zapadnę w sen?! Zacisnąłem zęby i tego samego dnia pognałem...

Prezes właśnie przyjmował interesantów. Czekając na swoje wejście układałem sobie mowę. Zorganizowanie uganiających się bez sensu chłopaków. Może jakieś kółko zainteresowań...? Drużyna osiedlowa...? A kiedy wszedłem, chyba ze zdenerwowania strzeliłem z grubej rury. Spytałem prezesa czy jest szansa, by w którymś z bloków wygospodarować harcówkę. Reakcja była natychmiastowa. „Jak się cieszę, że młodzi przychodzą z taką inicjatywą! Oczywiście. Mamy trzy wolne maleńkie pokoiki. Myślałem o klubie osiedlowym. Jeśli tylko rada mieszkańców zgodzi się, dajemy jeden z tych trzech pokoi harcerzom. Zgoda?" Czy się zgodziłem? Poleciałem natychmiast do kompana wycieczki do Konopnicy. Następnego dnia już wiedziałem, że zgoda mieszkańców jest.

Teraz już jest nas piątka, właściwie szóstka. Jeden z kolegów siostrę zwerbował. I wie pani z czego się cieszą moi koledzy? O, to dopiero bomba! Dostajemy własny lokal. Zaczynamy od początku. My będziemy go urządzać, my będziemy tam pierwsi. I ci sami ludzie, którzy nie potrafili na naszych pierwszych spotkaniach wykrzesać żadnych pomysłów teraz na przerwach wykrzykują, co trzeba najpierw zrobić, czym najlepiej przyciągnąć dzieci z podwórka. Zastanawiają się, kogo ściągnąć do organizowania zabaw z najmłodszymi.

Dopiero dziś wiem, co ich tak ruszyło, co ich „odetkało". Tworzenie. Uczestniczenie w czymś od samego początku. To jest tak, jak z moim czerwcowym olśnieniem. Ognisko przecież nie paliło się innym ogniem niż te, w których uczestniczyłem przedtem. Różnica tkwiła tylko w tym, że ja je sam rozpaliłem, sam układałem i sam szukałem w lesie najsuchszych gałęzi. I dlatego było dla mnie prawdziwsze od tamtych, które czekały już przygotowane. Jestem przekonany, że naszą harcówkę urządzimy i że właśnie tu na osiedlu znajdę to czego do tej pory nie udało mi się znaleźć. A przede wszystkim znajdę sposób, siłę na przyciągnięcie innych. Jednym słowem rozpalę ognisko, przy którym znajdzie miejsce jeszcze wielu takich jak ja.

Zwierzenia Wojtka Śmiecka ucznia III klasy Technikum Samochodowego w Lublinie zanotowałam w czasie, gdy oczekiwał na zatwierdzenie decyzji dotyczącej lokalu-harcówki.

M. H.

Skarby z grodu nad Bystrzycą

DUKATY, DENARY, PÓŁTORAKI...

LUBLIN (Inf. wł.). Konserwatorzy zabytków w Lublinie biorący udział w pracach badawczych na terenie lubelskiej Starówki w ciągu ostatniego roku odkryli wiele skarbów numizmatycznych świadczących o bogatej historii grodu nad Bystrzycą.

Przy ulicy Grodzkiej, na głębokości ok. 3 metrów odkryto m. in. złoty dukat węgierski Macieja I oraz złoty dukat węgierski Władysława II. W obrębie tejże kamienicy natrafiono na skarb liczący 257 monet, głównie srebrnych. Są wśród nich grosze praskie Władysława IV, trzeciaki i grosze koronne Władysława Jagiełły, a także denary koronne Władysława Warneńczyka, półgrosze Kazimierza Jagiellończyka.

W otoczeniu czynszowej kamienicy przy Rynku wydobyto aż 1658 monet, w większości denarów koronnych Władysława Warneńczyka oraz 600 węgierskich półtoraków z lat 1700–1707. Przy okazji tych prac wyszło na jaw, iż wartość katalogowa znalezisk jest niewiele mniejsza od nakładów finansowych przeznaczonych na prace archeologiczne na Starym Mieście. Zabytki te wzbogacą zbiory Muzeum Okręgowego w Lublinie. **(dn)**

KRĘTE ŚCIEŻKI EWOLUCJI (2)

▲ *Ludzie-nietoperze, posiadający zdolność myślenia, latające istoty jako zdobywcy świata?*

◀ *Inteligentny gad*

To, że natura w innych światach mogłaby stworzyć dokładny duplikat człowieka, jest według naukowców niemożliwe, bowiem – jak postuluje profesor Harvardu, George Simpson, ewolucja jest „nieodwracalna i niepowtarzalna". Oznacza to, że jeśliby życie na Ziemi zaczęło się jeszcze raz od początku rozwijać, ludzie i zwierzęta nie ukształtowałyby się w takiej postaci, jaką mają obecnie. **„Nasza egzystencja** – uważa Bylinsky – **jest wynikiem zbyt wielu przypadkowych zdarzeń, np. zmian geologicznych i klimatycznych"**.

Wiele tysięcy gatunków zniknęło z Ziemi ponieważ nie mogły się dostatecznie szybko przystosować do raptownie zachodzących zmian klimatycznych. Tak prawdopodobnie wyginęły jaszczury epoki jurajskiej, które były panami świata nieprzerwanie przez ponad 100 milionów lat. Przypuszczalnie nie wytrzymały one niespodziewanego nadejścia zimna przed 75 milionami lat. W ciągu 10 milionów lat, a dla ewolucji jest to nie więcej niż mrugnięcie oka, niezdolne do przystosowania się kolosy wymarły. Nagła śmierć tych żarłocznych potworów jest wzorowym przykładem, jakim przypadkom zawdzięczamy swoją egzystencję.

Jeżeli wtedy te ogromne gady uodporniłyby się na mroźny klimat, być może zostałyby najinteligentniejszymi istotami na Ziemi. Przede wszystkim rodzaj jaszczura zwanego Cynognathus, był już wyraźnie na drodze do wyższego rzędu: skurczył się do rozmiarów człowieka i posiadał gęste futro. Ale jego rozwój nastąpił zbyt późno; on także nie wytrzymał zimna. Również dinozaury[1] i inne gatunki zwierząt miały w swej ewolucji szanse „pójścia drogą ku inteligencji" – twierdzi Bylinsky. Przypuszczalnie stałoby się to:

● jeżeli już wcześniej ptaki przybrałyby na wadze i wielkości, stałyby się niezdolne do latania, czyli stworzeniami naziemnymi. Ich skrzydła przekształciłyby się stopniowo w ręce, a ich cienkie i smukłe nogi – w mocne, sprzyjające chodzeniu kończyny. Byłby to pierwszy krok ku inteligencji, jednakże pod warunkiem, że nie stanęłyby na drodze ewolucji konkurujące o byt ssaki. Nie wykluczone więc, że ptaki stałyby się panami Ziemi;

● jeżeli ryby epoki paleozoicznej, które w płytkich wodach sadzawek poszukiwały tlenu, nie zdecydowałyby się na wyjście na ląd, mogłyby to uczynić inne stworzenia – skorupiaki i mięczaki, jak np. głowonóg. Przypuśćmy, że kontynenty nigdy nie wynurzyłyby się z wody i Ziemia pokryta byłaby wodą, wtedy zamieszkiwałyby ją tylko głowonogi, małże i jeżowce. Wtedy podobne do głowonogów istoty przejęłyby panowanie;

● jeżeli owady nie musiałyby walczyć z zabójczą konkurencją gadów, byłoby możliwe zwiększenie objętości ich mózgu. Z pomocą swoich narządów zmysłów mogłyby urosnąć do wielkości człowieka i zbudować wysoko cywilizowane państwo, np. mrówek. **„Straszna perspektywa** – mówi Bylinsky – **ale całkiem możliwa"**.

Także inteligentne gady mogłyby wyprzeć ludzi z zajmowanego przez nich miejsca w ewolucji. Kiedy niedawno radzieccy naukowcy symulowali przy pomocy komputera ewolucję zwierząt lądowych, dominującą istotą okazał się inteligentny, pozbawiony ogona gad, który poruszał się przy pomocy tylnych odnóży i posiadał zręczne ręce.

Jednakże po tym, gdy jaszczury epoki jurajskiej wymarzły, powstały warunki do rozwoju zwierząt podobnych do ryjówki (kretomyszy). Śmiało wspięły się niektóre z tych małych zwierząt na drzewa; ich gatunek rozwinął się na przestrzeni milionów lat w małpopodobne istoty, posiadające ręce i predyspozycje do zwiększenia objętości mózgu.

Dużo prassaków, pozostających początkowo na Ziemi, później, kiedy wyrosły im skrzydła, jako nietoperze uniosły się w powietrze. Zanim to jednak nastąpiło, nietoperze, podobnie jak małpy, miały **„tę samą szansę stania się inteligentnymi istotami"** – przypuszcza Bylinsky.

Jednak ci, żyjący na drzewach przodkowie ludzi, wyciągnęli wygrywający los na loterii ewolucji; po jednej z gwałtownych zmian klimatu uschła część pralasów, rozszerzyły się sawanny, zwłaszcza w Afryce. Mieszkańcy drzew zeszli na ziemię i zaczęli polować, nauczyli się prosto chodzić, ich mózg zaczął się powiększać, a łapy przekształcać w zręczne ręce.

Miliony lat trwający pochód ku wieżowcom i bombom atomowym – rozpoczął się.

Opr. RYSZARD RATAJCZYK

[1] Dinozaury – grupa wymarłych gadów lądowych, z których liczne zaliczane są do największych wśród zwierząt, od 1 do 35 m.

Inteligentny potomek ptaków

Superośmiornice o bogatym życiu uczuciowym oraz ryby – torpedy o napędzie odrzutowym

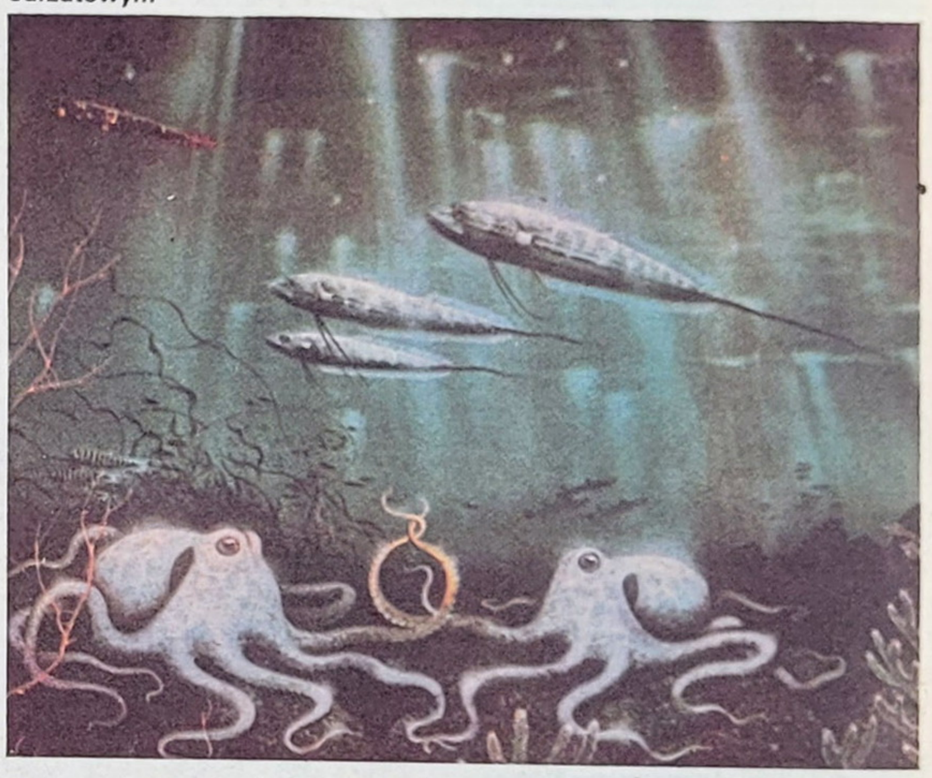

W USTECKIEJ STOCZNI – NOWE STATKI RYBACKIE

SŁUPSK (PAP). Dla załogi stoczni w Ustce reforma gospodarcza daje szansę prawidłowego rozwoju zakładu. W kanale wyposażonym dobiegają właśnie końca prace przy największej z dotychczas zbudowanych tu jednostek – 38 metrowym trawlerze „Dagmare", który jest zamówiony dla rybaków wybrzeża francuskiej Bretonii. Trwa wyposażenie kolejnych trawlerów rybackich dla polskich przedsiębiorstw połowowych na Bałtyku. W zakładowych pracowniach projektowych i na zapleczu technicznym przygotowuje się rozpoczęcie budowy serii 26 trawlerów rybackich dla armatora radzieckiego. Będą to nowoczesne jednostki o ponad 40 metrowej długości (największe w tej stoczni).

Poza budową stalowych kutrów, stocznia nadal będzie produkować kutry, łodzie i elementy wyposażenia statków z laminatów poliestrówo-szklanych.

MNIEJSZY OD ZIARNKA MAKU

ZSRR (PAP). Tylko pod mikroskopem można dokładnie obejrzeć silnik elektryczny, zbudowany przez rzemieślnika z Kijowa. Jest on bowiem 18 razy mniejszy od ziarnka maku. Po raz pierwszy ten super-mini-silnik zademonstrowano na wystawie w Montrealu, a później w Moskwie i Budapeszcie.

Silnik pracuje normalnie i, jak dotąd, wytrzymał ponad milion włączeń i wyłączeń. Jego konstruktor – hobbista zbudował ostatnio jeszcze mniejszy silnik elektryczny, którego objętość wynosi około jednej dwusetnej części milimetra sześciennego! **(kl)**

CZY TWIERDZY W WISŁOUJŚCIU GROZI ZAGŁADA?

Za nami most nad fosą. Przed nami – potężna brama. Broni wstępu do jedynej twierdzy morskiej w naszym kraju. Do Wisłoujścia. Na tablicy napis ostrzega, że „zły pies". Ale niżej, również białe napisy głoszą: „zły gospodarz", „zły kustosz". Brak najważniejszego – „źli sąsiedzi".

Dzwonka nie widać, ale Rysiek Szaniawski naciska klamkę furtki w bramie i ta – ustępuje. Wchodzimy w biegnący ukosem ciemny tunel. Idziemy ostrożnie, powoli, w kierunku światła. Pierwszy Rysiek, za nim Marek Szymański i na końcu ja. Cisza. Tunel się kończy. Przed nami dziedziniec i kolista budowla z czerwonej cegły, pełna drzwi i okienek otaczająca żółtą wieżę.

Nagle otwierają się jedne z tych drzwi i biała furia jak błyskawica pędzi w naszą stronę. Za nią wybiega strażniczka.

– Bela! Wróć! Bela!

Wrastamy dosłownie w ziemię. Suka dopada nas, ale posłuszna zawołaniu pani Janeczko nie gryzie. Bela wędruje pod klucz, a nasza trójka przez ozdobny ganek zdąża na mury. Marek robi zdjęcia. My z Ryśkiem zastanawiamy się, do czego służą jakby przyklejone do ścian betonowe tablice.

Wisłoujście ma bogatą historię. Już przed tysiącem lat palono tu nocą ogień wskazujący żaglowcom drogę do portu. W połowie XIV wieku Gdańsk ustanowił w Wisłoujściu komorę celną, a w 1482 roku zakończono budowę murowanej twierdzy z latarnią morską... Ale to, co oglądamy teraz, jest dziełem okresu odrodzenia. Tę perłę fortyfikacji morskiej projektował słynny architekt Holender – mistrz Antoni van Opbergen. A budowali ją gdańscy artyści – murarze Jan i Jerzy Strakowscy, ojciec i syn. Jerzy otrzymał nawet funkcję głównego fortyfikatora Gdańska. W początkach bowiem XVII wieku Gdańsk przebudowywał średniowieczny system obronny na bardziej nowoczesny. Wisłoujście jako morska twierdza było jednym z ważniejszych ogniw tego systemu. Tenże Jerzy Strakowski pełnił w Wisłoujściu funkcję kapitana i składał przysięgę na wierność polskiemu królowi. Wojewódzki konserwator zabytków w Gdańsku, pan Tadeusz Chrzanowski opowiadał mi, że Wisłoujście strategiczne znaczenie straciło dopiero w wieku XIX, a więc w okresie rozwoju techniki wojennej, uzbrojenia i taktyki. Wówczas to twierdzę zamieniono w więzienie. W podziemnych kazamatach Wisłoujścia więzieni byli powstańcy z 1831 i 1863 roku. A później społecznicy, działacze kulturalni, dziennikarze i pisarze polscy z terenu Pomorza.

– Słuchaj – mówię do Ryśka – może na tych tablicach będą uwiecznione nazwiska wybitnych postaci, królów, którzy tu gościli, lub więźniów...

Ale kiedy po chwili rozmawiamy z panią Stanisławą Janeczko, okazuje się, że te tablice umieścili... pracownicy Politechniki w Płocku (stanowiącej filię Politechniki Warszawskiej). Z tablic pobierane są próbki, na podstawie których bada się wpływ siarki i kwasu siarkowego na mury twierdzy. Bo w latach sześćdziesiątych zmienili się sąsiedzi wisłoujskiej twierdzy. Tuż pod bokiem wybudowano „Siarkopol" – punkt przeładunku siarki. Natomiast wykwaterowano mieszkańców pobliskiej osady rybackiej. Siarka bowiem szkodzi żywym organizmom. Nie tylko! Mury twierdzy po prostu się kruszą. A była ona przecież odbudowana po wojennym zniszczeniu. I taki wysiłek, takie koszta pójdą teraz na marne? Oglądamy rynny bez dna – działanie kwasu siarkowego. Żelazne okucia na drzwiach przeżera rdza. Od strony toru wodnego – mur grozi zawaleniem. Twierdza od strony wody stanowi część nabrzeża portowego. Przechodzące statki wytwarzają falę, która te mury wymywa. Oczywista sprawa, że tę właśnie część powinni restaurować użytkownicy toru wodnego. Tymczasem pan Chrzanowski stwierdził, że Zarząd Portu w Gdańsku przez trzydzieści lat palcem nie kiwnął w tej sprawie, mimo nalegań ze strony konserwatora zabytków i mimo poleceń ministra żeglugi. Kiedy wreszcie Zarząd Portu podjął działanie, ograniczyło się ono wyłącznie do usunięcia osypującej się części muru z toru wodnego. Zresztą w tym roku nawet i te prace przerwano...

Twierdza miała stanowić obiekt turystyczny i stanowiłaby, gdyby nie siarka. Planowano usytuowanie hotelu w domkach oficerskich. Oglądamy śmiesznie wąskie domeczki tworzące ową kolistą budowlę. Dwa z nich zajęli naukowcy z Płocka. Pozostałe na razie uległy wtórnej dewastacji. W żołnierskich koszarach znalazłyby miejsce biura turystyczne a w kazamatach i bastionach planowano urządzenie stołówki, kawiarni i całego zaplecza hotelowego...

Na razie kazamaty użytkuje Przedsiębiorstwo Przetworów Warzywnych „Dagoma". Pani Janeczko, która strażuje tu właśnie jako pracownik „Dagomy", otwiera nam wrota do jednego z kazamatów. Tam, gdzie przed trzystu laty była prochownia i składy amunicji, a od dziewiętnastego wieku więzienia, dojrzewa w beczkach pulpa truskawkowa i zimują ćwikłowe buraczki.

Ale właśnie pan Chrzanowski, mówił, że to całe szczęście. Bo gdyby nie „Dagoma", twierdzę rozkradziono by już do szczętu. „Dagoma" utrzymuje nawet psa – groźną Belę.

„Dagoma", Politechnika z Płocka, to na razie pierwsi użytkownicy twierdzy. Prowadzone są pertraktacje z Polskim Klubem Morskim, który chce tu mieć kilka awaryjnych pomieszczeń dla swoich załóg. Oczywiście Klub te pomieszczenia odrestauruje i będzie o nie dbał. Konserwator wojewódzki właśnie w zagospodarowaniu wszystkich pomieszczeń widzi ratunek dla tego zabytku, którego odbudowa i konserwacja pochłonęła już miliony. Jeżeli „Siarkopol" – czyli truciciel okolicy numer jeden – poprawi technologię siarki i zamiast ładować ją w stanie surowym będzie ją granulował, jeżeli Sanepid wyda zezwolenie, w jednym z bastionów zorganizuje się dużą stołówkę dla wycieczek przyjeżdżających na Westerplatte. Pan Chrzanowski uważa, że w tych trudnych czasach jedynym daniem może być zwykła grochówka z kuchni polowej i to już jest jakieś rozwiązanie. Uważa również, że wycieczki udające się na Westerplatte, powinny również zwiedzać Wisłoujście. Nie tylko ze względu na architektoniczną wartość zabytku. W Wisłoujściu bywali królowie: Zygmunt August, Jan III Sobieski, Zygmunt III Waza. Latarnicy wisłoujskiej latarni składali przysięgę na wierność Polsce, a dowódcy tej twierdzy aż do rozbiorów – na wierność polskim królom. Tu gdańska polonia witała 25 grudnia 1918 roku wojenny okręt angielski „Concord", który przywiózł na swoim pokładzie Ignacego Paderewskiego, genialnego muzyka i późniejszego premiera Polski.

Na razie już od tego roku, przewodnicy pokazują wycieczkom Wisłoujście jako ruiny. Na razie, resort chemii przeznaczył na konserwację tego zabytku kwotę pięć milionów złotych. Nie jest to wiele, ale istnieje obawa, że w ogólnym gospodarczym rozgardiaszu i ta kwota się zgubi, jeśli pieniądze w porę nie zostaną przekazane na konto funduszu odnowy zabytków województwa gdańskiego.

A tymczasem wiatr ciągle niesie od „Siarkopolu" żółty pył. Z tego pyłu na skutek dużej wilgotności wytrąca się kwas siarkowy. Najsilniejszy i najbardziej aktywny z kwasów, jakie zna chemia. I ten kwas opada z mgłą, z deszczem na mury twierdzy...

WIESŁAWA MROCZEK
Fot. **M. Szymański**

Na tę kolistą budowlę składały się domki oficerskie i obszerne mieszkanie komendanta twierdzy

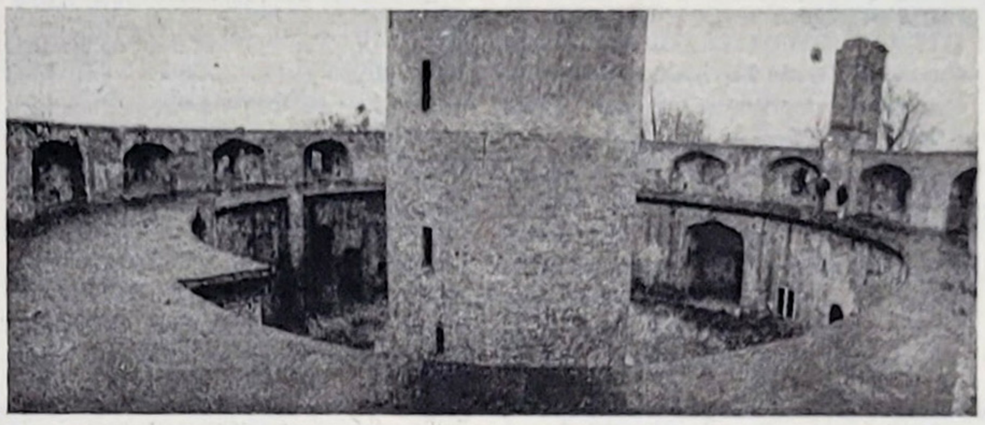

Tak wygląda serce twierdzy, z którego wyrasta wieża

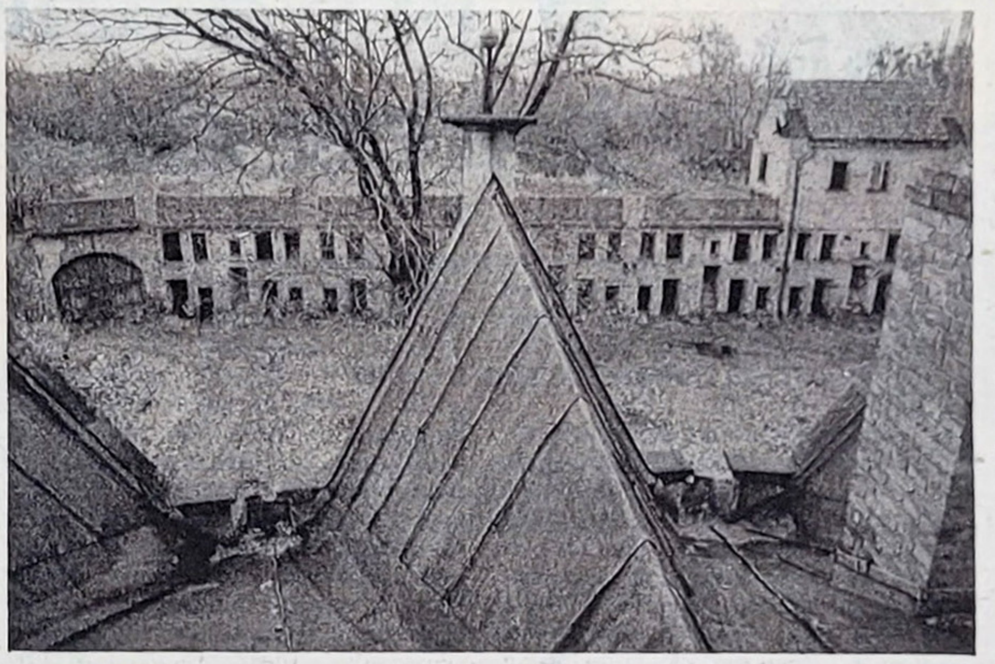

Widok na koszary żołnierskie. Załoga Wisłoujścia liczyła 120 osób

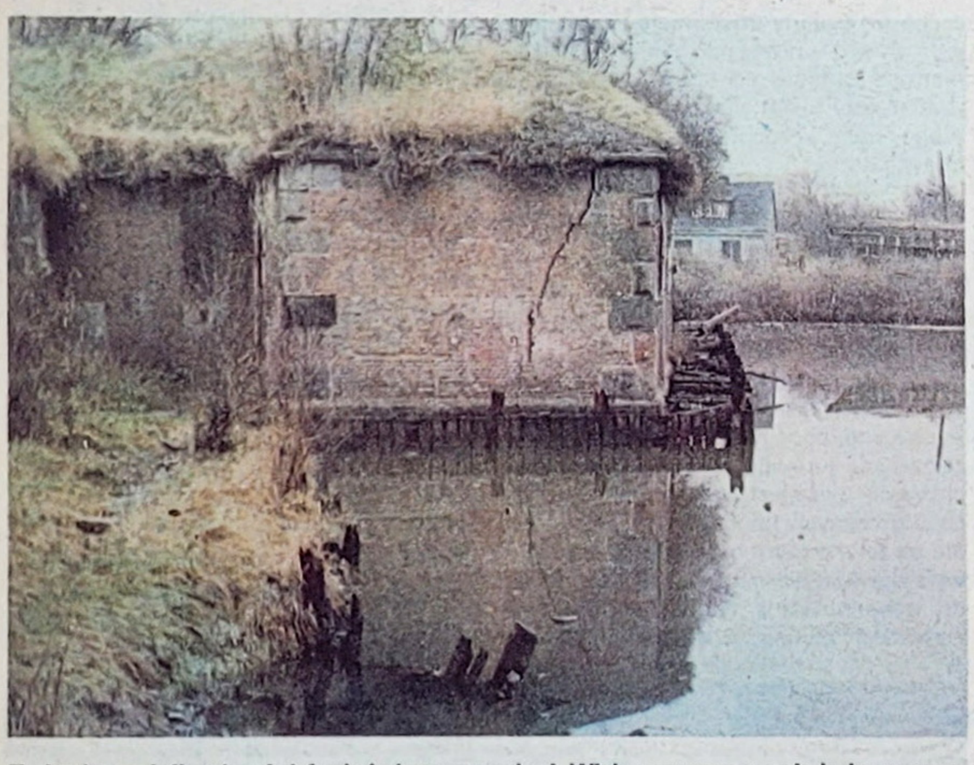

Twierdza pełniła również funkcję komory celnej. Wisła w owym czasie była przegrodzona łańcuchem, który opuszczano dopiero wówczas, gdy statek pokazał towary i opłacił cło. Na opornych szyprów, w szerokich fosach czaiły się uzbrojone galery... W tych samych fosach, w latach 1624–1626 stacjonowała flota wojenna Zygmunta III.

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Jest „kruszynką", ustępującą wagą i wzrostem swym rówieśniczkom. Ponieważ jest niezwykle uzdolniona ruchowo, skoczna i muzykalna, dzięki kilkuletnim uporczywym ćwiczeniom, robi ze swym ciałem co chce. Lekka jak piórko – mogła więc zostać gimnastyczką, której przyznano maksymalne noty. Dziewczęta, które z nią rywalizowały prezentowały się zresztą podobnie. Choć trochę starsze miały naturalnie nieco drobniejsze sylwetki.

Sport czy cyrk?

Obserwując wyczyny najlepszych gimnastyczek i gimnastyków świata, człowiek zadaje sobie podświadomie pytanie: sport to, czy cyrk? Niby sport, bo wokół „areny" zasiadają sędziowie, którzy dokonują oceny i punktują każde ćwiczenie. Sport, bo gimnastycy popisują się nie tyle dla publiczności, co dla wyniku. Jest to więc rywalizacja według określonych reguł, które wyłaniają zwycięzcę. Prawdę jednak mówiąc, trudno dostrzec różnice między wyczynami na drążku, poręczach czy równoważni, a popisami cyrkowymi na trapezie itp. Kto wie nawet, czy uczestnicy mistrzostw świata w gimnastyce nie prezentują wyższych umiejętności niż cyrkowi akrobaci? Póki co jednak gimnastyka jest sportem, w którym przyznawane są medale mistrzostw świata, Europy, olimpiad. I zapewne sportem pozostanie, chociaż ma już swych przeciwników.

Jest dyscypliną piękną, nadzwyczaj widowiskową, ale też niebezpieczną. Wprawdzie na żużlowym torze czy w boksie groźnych wypadków notuje się znacznie więcej, ale gimnastyka może okazać się tragiczna z innych nieco względów. Młodziutki organizm Olgi i jej koleżanek, które w wieku 6–7 lat rozpoczęły żmudny, męczący trening, musi odczuwać skutki wielkich obciążeń. Przymusowa często dieta w okresie intensywnego rozwoju fizycznego też ma ujemne skutki. Trudno również z całą odpowiedzialnością odpowiedzieć na pytania: jakie skutki dla owego rozwoju mają codzienne, ekwilibrystyczne ćwiczenia? Czy nie hamują one wzrostu, nie wpływają ujemnie na sylwetkę?

Gnębią mnie owe problemy tym bardziej, że sport ten uprawiają dzieci, absolutnie nieświadome następstw, ufające bezgranicznie rodzicom i opiekunom, na których spoczywa cała odpowiedzialność. Wydaje się konieczne, by w tej sprawie szerzej i głośniej niż dotychczas wypowiedzieli się lekarze-specjaliści, a także psycholodzy.

Teatr czy kukiełki?

Mała Olga była po swym zwycięstwie najbardziej rozchwytywaną przez reporterów i dziennikarzy uczestniczką mistrzostw. Brała udział w konferencji prasowej, udzielała wywiadów. Na pytanie, co lubi poza gimnastyką, odpowiedziała: muzykę, literaturę fantastyczną i teatr. Podobne zamiłowania mają inni, dorośli mistrzowie, toteż wydaje się, że na to pytanie młoda mistrzyni odpowiedziała nie jak pragnęła, a jak jej kazano. Wydaje mi się także, że Olga jeśli nawet lubi książki, to raczej z bajkami, a jeśli teatr – to kukiełkowy. Tyle że mistrzyni już nie wszystko wypada mówić i robić. Wraz ze złotym medalem otrzymała miano „dorosłej", a wraz z koroną – rangę osoby publicznej. Ciężka to korona.

TOMASZ TRZCIŃSKI

KIEDY MISTRZYNI MA 15 LAT

Dziecko w koronie

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

SKODA GARDE

Samochód ten stanowi nieco usportowioną wersję aktualnie produkowanych SKÓD 105/120. To usportowienie przejawia się w ukształtowaniu nadwozia w formę określoną nazwą coupé, a więc ze stromo opadającą tylną częścią dachu i pozostawieniem pojedynczych drzwi po obydwu stronach samochodu.

Oficjalna prezentacja SKODY GARDE nastąpiła na jesiennych targach w Brnie. Jej wytwarzanie stanowi dalszą kontynuację w produkcji samochodów usportowionych w oparciu o znajdujący się obecnie na linii produkcyjnej model samochodu osobowego, którą w latach 50–60 zapoczątkowała SKODA FELICJA będąca pochodną SKODY OCTAVII, a następnie SKODA R-110, pochodna SKODY 100.

Sylwetka SKODY GARDE prezentuje się bardzo ładnie, do czego niewątpliwie przyczyniły się prostokątne lampy reflektorów, plastykowe zderzaki, przedni spoiler i zgrabnie dobrana geometria tylnych bocznych szyb.

Znajdująca się z tyłu pokrywa silnika posiada zakończenie uformowane w kształt spoilera, który niezależnie od funkcji aerodynamicznych ułatwia również wprowadzanie świeżego powietrza do komory silnikowej. Z tyłu znajdują się duże zespolone lampy zawierające poza normalnymi światłami, a więc kierunkowskazów, stopu i pozycyjnych również światła cofania oraz przeciwmgielne.

Wnętrze samochodu posiada bogatsze od podstawowej wersji SKÓD wykończenie; dywanowe wykładziny, tapicerowane obudowy wnęk kół, siedzenia przednie o ergonomicznym kształcie z regulowanymi oparciami, wykonanymi w jednej całości z zagłówkami. Siedzenia tylne są dzielone i posiadają uchylane oparcia, za którymi znajduje się przestrzeń bagażowa o pojemności 0,12 metra sześc. Podobnie jak w SKODACH 105/120 właściwy bagażnik znajduje się z przodu i posiada pojemność 0,28 m sześć.

Silnik SKODY GARDE umieszczony jest z tyłu, za tylną osią. Posiada pojemność 1174 cm sześc. i moc 42,7 kW (58 KM) przy stopniu sprężania 9,5 i 5200 obr/min. Tak duży stopień sprężania wymaga paliwa o liczbie oktanowej 96 (przypomnijmy, że w naszych stacjach znajdują się paliwa o liczbach oktanowych 78 i 94). Jest on jednostką czterocylindrową, z cylindrami umieszczonymi w jednej linii, chłodzony cieczą – chłodnica umieszczona jest z przodu pojazdu w komorze bagażowej.

Napęd od silnika przenoszony jest na tylne koła za pośrednictwem jednotarczowego suchego sprzęgła, czteroprzekładniowej skrzyni biegów i przekładni głównej.

Samochód posiada bezramowe podwozie z wszystkimi kołami zawieszonymi niezależnie. I tak przednie koła zawieszone są na poprzecznych wahaczach, tylne na wahaczach wleczonych. Elementami resorującymi tych zawieszeń są sprężyny śrubowe, a funkcje tłumienia ich drgań spełniają amortyzatory teleskopowe umieszczone we wnętrzach sprężyn.

Kolumna kierownicy jest dzielona typu bezpiecznego. Hamulce przy przednich kołach tarczowe, przy tylnych bębnowe.

Dane wielkościowe SKODY GARDE są następujące: długość 4175 mm, szerokość 1610 mm, wysokość 1380 mm, rozstaw osi 2400 mm, prześwit 113 mm, pojemność zbiornika paliwa 38 litrów, ogumienie o wymiarze 165 SR 13 marki Barum o zmniejszonych oporach toczenia. Ciężar samochodu 915 kg, dopuszczalne obciążenie 350 kg. Zużycie paliwa przy prędkościach 90/120/w jeździe miejskiej wynosi odpowiednio 5,6/9,2/8,9 litra na 100 km. SKODA GARDE osiąga prędkość maksymalną 153 km/godz., przyspiesza od 0 do 100 km/godz w czasie 18 sekund.

Odpowiadając na przysłaną do mnie korespondencję, zawiadamiam Wiesława Gancarczyka z Trzebini, że nie dysponuję innymi danymi LIGIERA od tych, które przekazałem w kąciku „Świat na czterech kółkach". Z treści listu wynika, że Wiesiek jest zainteresowany zakupem takiego samochodu i w związku z tym trudno mi odpowiedzieć na postawione przez niego pytania związane z tym, za jaką walutę można go nabyć i jakie są koszty jego importu. O ile wiem nikt u nas w kraju nie zajmuje się importem tego rodzaju jeszcze nie całkowicie sprawdzonych pojazdów, które wytwarzane są wyłącznie na potrzeby rynku wewnętrznego – francuskiego. Jeżeli dysponujesz dużymi zasobami zachodnich pieniędzy możesz zwrócić się do jednej z placówek Polskiej Kasy Opieki, która być może zechce zająć się zakupem takiego samochodu. Mały LIGIER z silnikiem Motobecane 50 cm sześc. kosztuje 18 000 franków francuskich.

ZENON DUTKIEWICZ

KLUB PRZYJACIÓŁ PRZYRODY ŚWIATA MŁODYCH

W przyrodzie wiosna – w listach jeszcze zima

DZIŚ O: ● WĘDRUJĄCYCH SZPAKACH I DROZDACH ● DRAPIEŻNIKACH POLUJĄCYCH PRZY KARMNIKU ● KOSACH W MIEŚCIE ● ŻURAWIACH NA POLU

Ornitologiczna wiosna znacznie wyprzedza wiosnę kalendarzową. Ptasie wędrówki trwają bowiem już w lutym. Pod koniec, a nawet w połowie tego jeszcze zimowego miesiąca widujemy już na niebie klucze wędrujących **gęsi** – najczęściej **białoczelnych i zbożowych**, czasem też zjawiają się **gęsi gęgawy**. Na przełomie lutego i marca na dobre też zaczyna się przylot **czajek i skowronków**; niektórzy z naszych klubowych obserwatorów odnotowali w ubiegłych latach ich przylot nawet w trzeciej dekadzie lutego. Ciekawe, jakie spostrzeżenia będziecie mieli w tym roku. Zanim jednak w naszych klubowych komunikatach na dobre zapanuje wiosna – wrócimy do zimowych, a nawet jesiennych jeszcze spostrzeżeń korespondentów klubu.

I tak **Robert Gwiazda ze Stalowej Woli**, stale nadsyłający do nas meldunki, obserwował w październiku stada wędrujących szpaków. *„Słyszałem gwar czyniony przez szpaki w koronach drzew. Widziałem ich setki, przelatujących z drzewa na drzewo, czy też żerujących olbrzymią gromadą na polach".* Tu możemy od razu nawiązać do wiosny. Otóż podobny „gwar w koronach drzew" czynią na przełomie marca i kwietnia wędrujące **drozdy**. Najczęściej są to **drozdy rdzawoboczne**, czyli **droździki**. Dzięki temu właśnie zgiełkowi ich obecność w lesie łatwo wykryć, a sejmiki owych pierzastych wędrowców są jednym z najbardziej charakterystycznych zjawisk wczesnej wiosny w naszym kraju. Toteż pilnych obserwatorów z klubu zachęcam do zwrócenia na nie uwagi. Zwłaszcza, że wspomniany droździk jest u nas w porze lęgowej ptakiem rzadkim, choć – coraz liczniejszym. W większej liczbie gnieździ się na północnym wschodzie kraju; w dolinie Biebrzy konkuruje już liczebnie z drozdem śpiewakiem i kosem, z tamtych też okolic pochodzi zaprezentowane zdjęcie ptaka, opiekującego się młodymi.

Robert wspomina też o jesiennym przylocie **gawronów**, podkreślając, że w jego okolicy *„nie zaroiło się od nich jak choćby w roku poprzednim"*. O tym, że w ogóle zimujących ptaków jakby było mniej, pisaliśmy w naszej ostatniej klubowej notatce pt. „Mniej zimowych gości?". Wasze listy zdają się potwierdzać zawarte tam uwagi. Np. **Krzysztof Wojda ze Strugi k/Warszawy** pisze, że zauważa mniej niż kiedyś jemiołuszek, grubodziobów, szczygłów, a nawet kawek. Dodaje też, że w ubiegłych latach *„kwiczołów było zatrzęsienie, a w tym roku można zobaczyć tylko trzy, cztery"*. Natomiast, zdaniem korespondenta, nie ubyło zimujących kaczek. Potwierdzają to obserwacje z Warszawy, gdzie – jak się zdaje – mieliśmy prawdziwą „kaczą zimę"; na nie zamarzających powierzchniach wodnych w stolicy, np. na kanale gocławskim, widywało się stada krzyżówek liczące setki osobników.

Dodam też, że gdy idzie o ptaki krukowate, to wspomniana już nasza notatka z grudnia ub.r. okazała się zbyt alarmistyczna. Zimujących **gawronów**, jak się okazało w ciągu grudnia i stycznia – niewiele ubyło, ściągnęły bowiem wkrótce do stolicy ich wielotysięczne stada. Nie zmniejszyła się też liczba przebywających w Warszawie **wron**. Wieczorami zbierają się one w Parku Skaryszewskim, skąd odlatują na nocleg, nie łącząc się we wspólne stada z gawronami, mającymi swą sypialnię na Bemowie. Ciekawe, co na temat noclegowisk wron, a także **srok**, które stadnie sypiają w gęstych zaroślach na peryferiach miast, mają do powiedzenia obserwatorzy z klubu. W chwili, gdy piszę te słowa, sroki budują już gniazda, z których często korzystają inne ptaki. **Andrzej Drężek** i **Jacek Matlęga ze Świdnicy** piszą nam o lęgu **sowy uszatej**, znalezionym ubiegłej wiosny w gnieździe sroki.

Ci sami korespondenci meldują nam o zagładzie gawronów w parku na terenie ich miasta. Znajdują tu wiele martwych ptaków, nie wiedząc, co jest przyczyną ich śmierci. Na podstawie danych zawartych w liście trudno orzec, czy ptaki padają ofiarą trucizny na jakimś śmietnisku, czy też jakichś zapalonych myśliwych, robiących w przyrodzie „porządek". Za pierwszą wersją przemawia fakt znalezienia w parku także martwego krogulca.

Drapieżniki widywało zimą kilku naszych obserwatorów. **Arek Sobasz** widział w **Braniewie** polującego **jastrzębia**. Wyjaśniam, że obecność tego drapieżcy w mieście – zwłaszcza zimą – nie jest osobliwością, nierzadko zagląda on bowiem nawet do dużych skupisk ludzkich po gołębia czy kawkę. A że jest mistrzem w ukrywaniu się – rzadko go zauważamy. Jeszcze częściej bywa zimą w miastach jego mniejszy krewniak – **krogulec. Mirosław Stępień z Polkowic** widział **pustułkę** polującą na wróble przy karmniku. Podejrzewam, że mogła tu zajść pomyłka i zauważony ptak faktycznie był krogulcem – no, ale w końcu nasz obserwator był bliżej całego wydarzenia. Nadesłana przezeń wiadomość wskazuje, że jednak zalecenia, by karmniki ustawiać w miejscach nie ułatwiających polowań drapieżnikom, nie jest pozbawiona sensu...

Cytowany już Arek Sobasz pisze o **kosach**, przebywających zimą w mieście. Ponieważ miejskie kosy okazują się zazwyczaj ptakami osiadłymi – informacja ta wskazuje, że gnieżdżą się one w Braniewie. Przypomnijmy, że jeszcze nie tak dawno temu kos był u nas ptakiem leśnym. W miastach zaś pojawił się stosunkowo niedawno, a proces jego „urbanizacji" postępował od zachodu i południa ku wschodowi i północy kraju. Wydaje się, że dziś kos „podbił" już wszystkie, także północne i wschodnie miasta Polski – ale pewności co do tego nie mamy. Informacja naszego korespondenta jest więc dość cenna. Zachęcam go, by sprawdził, czy kosy gnieżdżą się w jego mieście...

I tak oto przeszliśmy do wiosennej tematyki. To okazja, by odpowiedzieć **Rolandowi Jasłowskiemu z Poręb k/Jedlicza w woj. krośnieńskim**, który przysłał listę 51 gatunków występujących – nie tylko wiosną – w jego okolicy, gdzie *„znajdują się łąki, stawy otaczające lasy i zarośla nad rzeką w postaci łęgów topolowo-wierzbowych i olszowo-jesionowych"*. Korespondent pyta: *„czy, jak na taką okolicę, świat ptaków jest dość bogaty?"* Sądząc z listy – której nie sposób tu zaprezentować – jest on po prostu dość typowy. Ciekawsze gatunki z listy – to **dzięcioł białogrzbiety, gołąb siniak** czy zagrożona, coraz rzadsza **sowa płomykówka**. Uderzył mnie natomiast brak takich pospolitych gatunków, jak myszołów, sowa uszata czy wiele ptaków wodnych, np. perkozów i kaczek, których nie powinno brakować w okolicy, gdzie są stawy. Zachęcam więc naszego korespondenta, by rzecz bliżej zbadał; (warto np. zwrócić uwagę na słowiki – czy nie występuje tu czasem typowy dla wschodniej Polski słowik szary?). Zważywszy, że w opisywanej okolicy zachodzą zmiany (melioracje, wyrąb starych drzew) – nowy członek klubu ma tu niemałe zadanie do spełnienia. Trzeba zbadać, czy świat ptaków nie zubożeje, czego nasz korespondent słusznie się obawia.

Na koniec – o **żurawiach**. Ubiegłej wiosny obserwował je na polu cytowany już Andrzej Drężek ze Świdnicy. *„Gdy jeden coś skubał, drugi rozglądał się, czy im nic nie grozi, i tak na zmianę. Obserwowałem je ok. 25 minut. Niezręcznym ruchem wypłoszyłem je. Na drugi dzień znów powróciły w to samo miejsce..."* Typowy to, choć rzadki zauważony obrazek z życia żurawi. Pary lęgowe tych płochliwych, okazałych ptaków, gnieżdżą się na śródleśnych bagnach (patrz zdjęcie), ale na żer – o czym nie wszyscy wiedzą – wylatują właśnie na pola. Jest to okazja do obserwowania żurawi – do czego wszystkich zachęcam. W kwietniu klucze tych rzadkich już ptaków będą się pojawiać na niebie. Czekam więc na wiadomość o przelotach, a zwłaszcza o lęgowiskach żurawi – jak i o wszystkich innych ptakach!

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. autora

Nowi członkowie Klubu: Andrzej Drężek, Zamenhofa 52/6, 58-105 Świdnica, **Roland Jasłowski**, Poręby 84, 38-460 Jedlicze, woj. krośnieńskie; **Jacek Matlęga**, Zamenhofa 50/b, 58-105 Świdnica, **Mirosław Stępień**, Kolejowa 5/4, 59-320 Polkowice, woj. legnickie, **Krzysztof Wojda**, Legionowa 59, 05-261 Struga. Wszyscy otrzymują znaczki klubowe z zimorodkiem. Do klubu przyjmujemy tych, którzy nadsyłają ciekawe korespondencje ornitologiczne.

Kartki z dawnych lat

PIERWSZE WIELKIE WYSTAWY ROLNICZE

Nie wszyscy zapewne wiedzą o tym, że pierwsze wielkie wystawy rolnicze o charakterze centralnym na ziemiach polskich zorganizowano w Łowiczu w latach 1858–1859. Urządzono je na skutek postanowienia ówczesnego organu rządowego Królestwa Polskiego – Rady Administracyjnej – we wrześniu, w czasie słynnego ogólnokrajowego jarmarku na św. Mateusza (21 września).

Prezentowano na tych wystawach płody rolne, inwentarz żywy oraz maszyny i narzędzia rolnicze. Wśród eksponatów przemysłowych znajdowała się m.in. młockarnia z kieratem, wyprodukowana przez jedną z pierwszych polskich fabryk maszyn i narzędzi rolniczych – Zakład Budowy Machin na Solcu – w Warszawie (rok powstania 1825). Wystawy łowickie były zatem zaczątkiem wiązania wystaw rolniczych z publicznym prezentowaniem na nich sprzętu mechanicznego przeznaczonego dla rolnictwa. Jako wystawcy brali udział w Łowiczu Polacy ze wszystkich trzech zaborów – rosyjskiego, pruskiego, austriackiego.

Wystawy łowickie miały uroczysty charakter. Podczas trwania wystawy urządzano różne konkursy i zawody, w tym konkursy pługów i oraczy oraz wyścigi arabów i koni chłopskich. Wygrał W. Skupiński z Płyćwi (k. Skierniewic).

Rok następny – 1859 przynosi rozwój wystawy, zwiększa się liczba eksponatów na niej prezentowanych. Gdy w roku 1858 na wystawie znalazło się 560 eksponatów z działu roślinnego, 162 – ze zwierzęcego oraz 177 maszyn i narzędzi rolniczych, to w roku 1859 wzrost wynosił odpowiednio: 900, 350 i 180. Nagrody na drugiej wystawie otrzymały m.in. majątki: Osuchów (k. Grodziska Maz.) za bydło żuławskie, Strugi (k. Sochaczewa) za pszenicę, Osiny (k. Kiernozi) za żyto, Łyszkowice (k. Łowicza) za owies, Naborowo (k. Płońska) za najpiękniejsze owoce. Konkurs oraczy wygrał chłop z Rybia (k. Gostynina). Na wystawie łowickiej w roku 1859 duże uznanie zyskały wyroby wełniane i lniane pochodzące z gminy Łyszkowice.

Wielkie wystawy rolnicze w Łowiczu były jednym z wyrazów popierania postępu w rolnictwie przez ówczesne władze, a jednocześnie jednym z instrumentów tego postępu. Przekształcając się w wielkie ogólnokrajowe imprezy umożliwiały one i umacniały kontakty części Polaków z różnych zaborów. Świadczyły także o istnieniu więzi gospodarczych ziem polskich mimo politycznego rozdarcia.

HENRYK SZUBERT

ILE KOŃ MA NÓG?

Skąd taki tytuł? Z poprzedniego numeru, z dowcipu o koniu, który zamieściliśmy wraz z innymi dowcipami (również rysunkowymi) zamiast RZEPA. Dziś kontynuujemy naszą serię. Tu dowcipy nie zdrożały!

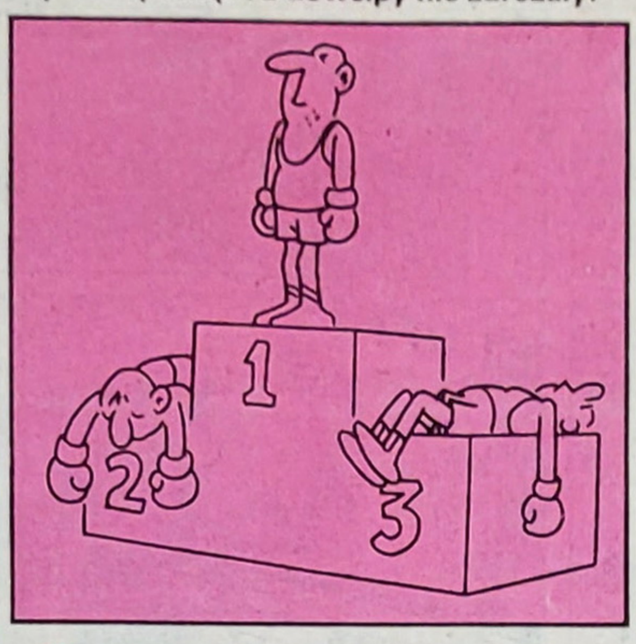

– Powiedz mi, Januszku, jaka jest różnica między mózgiem a rozumem?
– Mózg ma każdy, a rozum nie!

– Panie bosmanie, w statku jest dziura!
– Gdzie?!
– W prawej burcie pod linią wodną!
– To chociaż dobrze, tam jej nikt nie zauważy...

– Chciałbym się uczyć na Księżycu!
– Zwariowałeś?!
– Przecież powszechnie wiadomo, że tam wszystkie przedmioty są lżejsze!

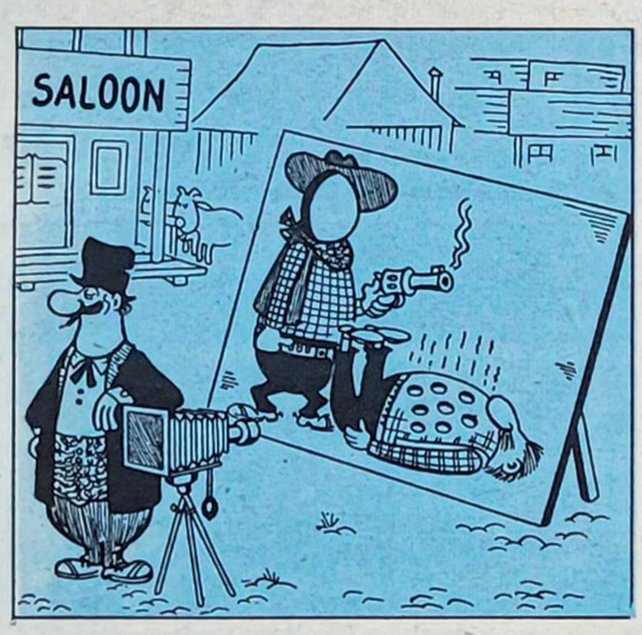

– Więc nie umiesz, Kowalski, znaleźć na mapie Londynu?
– Proszę pana, przecież pan sam mówił na poprzedniej lekcji, że tam są wiecznie straszne mgły!

Na pustyni zatrzymuje się auto przy karawanie Beduinów. Kierowca pyta: – Jak daleko do najbliższej oazy?
– Którego dzisiaj mamy? – powiada Beduin. – Piątego? To do ósmego niech pan ciągle jedzie prosto, ósmego w południe skręci na prawo i jeszcze tak ze dwa dni prosto...

Mały Zenek woła do taty:
– Tato, już umiem pisać!
– A co napisałeś, synku?
– Nie wiem, czytać to ja jeszcze nie umiem...

Turysta idzie ulicą miasteczka w Arizonie. Nagle z okna na pierwszym piętrze wyskakuje kowboj i pada jak placek na ziemię.
– Pomóc coś panu? – pochyla się nad nim turysta.
– Dziękuję! – odpowiada kowboj zbierając się z ziemi. – Tylko chciałbym dostać w swoje łapy tego, kto odprowadził mi stąd konia.

– Mamo – woła Janek z łazienki. – Jaką dasz mi dziś koszulę?
– Z krótkim rękawem. Czemu pytasz?
– Bo chcę wiedzieć, dokąd mam umyć ręce...

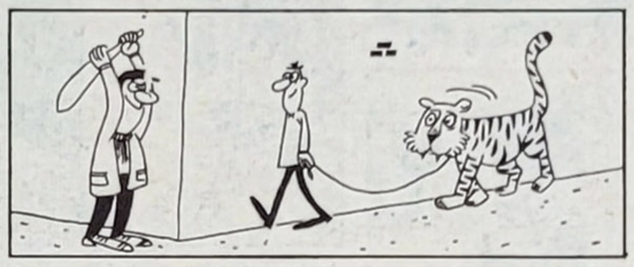

– Panie doktorze, kazał mi pan pokazać język, trzymałem go pięć minut, a pan nawet nie spojrzał...
– Chciałem po prostu w spokoju wypisać receptę.

W dalekim kraju jakiś człowiek pokazuje w pociągu konduktorowi bilet.
– Ależ panie! – woła konduktor. – To jest przecież bilet dla dziecka?!
– Widzi pan, jak się u nas spóźniają pociągi?

– Panie kelner, już godzinę usiłuję bezskutecznie uciąć kawałek tego kotleta...
– Niech się łaskawy pan nie spieszy, zamykamy dopiero o dwudziestej!

Spotykają się dwaj myśliwi:
– Czemu jesteś taki potłuczony i poobijany?
– Wyobraź sobie, wyszedłem wczoraj na polowanie, patrzę: jakaś dziura w ziemi. Wrzasnąłem tam: uuu!; z dziury odpowiedziało: uuu! Wyskoczył lis, ja łaps! i mam lisa. Znów dziura, już większa. Wołam: uuu!, odpowiada: uuu! Wyłazi niedźwiedź, ja bach! i mam niedźwiedzia. Trzecia dziura. Wielka! Wołam: uuu!, odpowiada: UUU! I wyjeżdża z tunelu pospieszny...

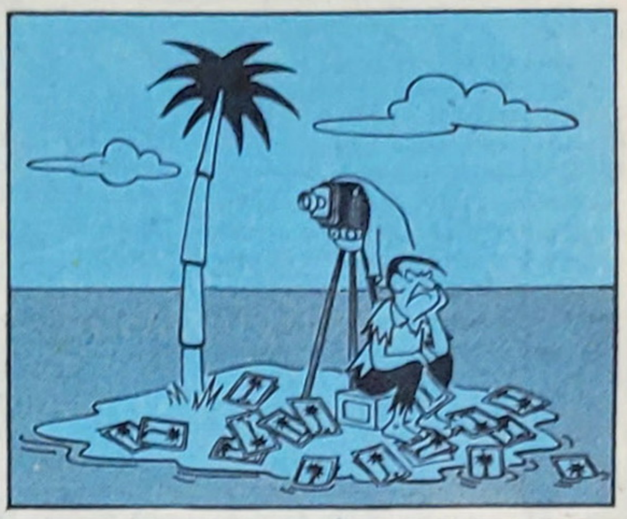

– Pawełku, dlaczego tata odrabia za ciebie lekcje?
– Bo mama jest zawsze strasznie zapracowana...

– Tato – pyta córeczka – dlaczego zawsze wychodzisz na balkon kiedy ja śpiewam?
– Żeby sąsiedzi nie pomyśleli, że cię biję.

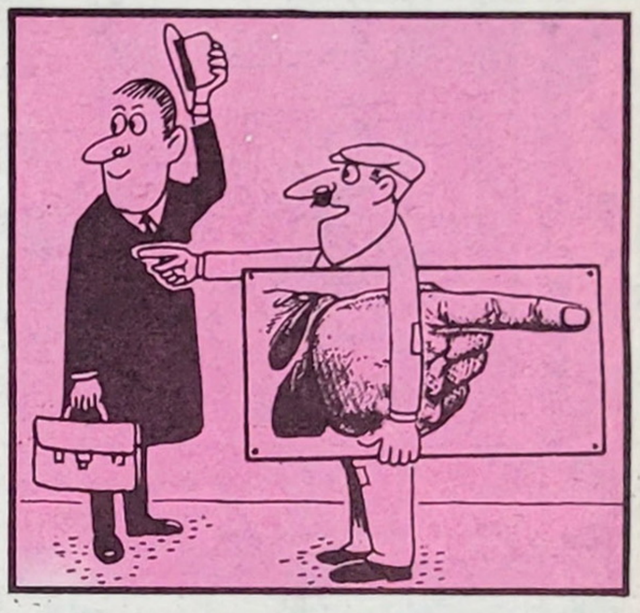

– Czy w tym stawie jest dobra woda? – pyta wędkarz wędkarza.
– Wyborna! Ryby wcale nie chcą z niej wychodzić...

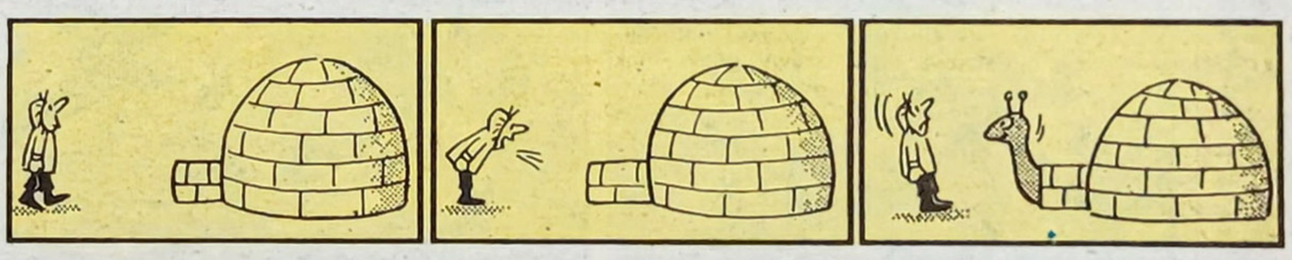

korzyść. Co miała robić w takiej sytuacji, gdy słuchająca spała, a czytająca wyrywała się do dzieci, których głosy zza okna wdzierały się do pokoju.

Pomijając te uchybienia cierpliwość Gabrysi przy prawdziwej sympatii dla pani Ludki, dała w końcu tę oto korzyść, że w szkole Maryni czytała lepiej niż inne, starsze dzieci, nie licząc jedynie Krzysztofa, którego nikt nie mógł prześcignąć.

Krzysiek nie uczył się czytać. Czasem w domu zapytał o jakąś literę z gazety. Czytanie objawiło mu się jako umiejętność, która sama przyszła, podobnie jak do niektórych dzieci sztuka ubierania i rozbierania.

Gabrysia na przykład wcześniej od Zuzanny radziła sobie z klapą u majtek, bez spoglądania na boki, bez oglądania się do tyłu. Gdy Zuzanna miała cztery lata, Różka jej majtki odpinała i zapinała. Gabrysia w tym samym wieku umiała to robić sama. Podobnie było z baszłykiem zapinanym na lewym ramieniu.

– Jak to wytłumaczyć? – zastanawiano się nad Krzysztofem. Nikt nie mógł zrozumieć, skąd się bierze, że umie więcej niż inne dzieci.

Szyldy w miasteczku, napisy w pociągu kusiły go do poznania ich treści. Ulegał pokusie, był wszystkiego ciekawy. Czytanie dla niego nie było trudniejsze od oddychania, jeśli oddychać normalnie, nie za szybko.

– Nie pluć! – przeczytał w podróży.

Zadowolony i zdziwiony zapytał:

– Tu ktoś pluje, tatusiu?

– Ostrzegają, żeby nie pluć – pouczył tatuś, zanim się zdumiał, wymieniwszy spojrzenie z żoną.

Zdziwili się obydwoje. Nie znali własnego dziecka. To były pierwsze, głośno przez Krzysztofa przeczytane słowa.

Ktoś z pasażerów podsunął gazetę nie dowierzając umiejętności czytania dziecka, które nie ukończyło pięciu lat. Ściśle mówiąc miał wówczas Krzysztof cztery lata i siedem miesięcy.

Powoli, ale bezbłędnie przeczytał wskazane tytuły.

Do końca podróży rodzice Krzysia nie mieli spokoju z powodu tego wydarzenia.

Ledwie przyjechali do celu podróży, zainteresował się w mieszkaniu tytułem książki. Przeczytał głośno *Szaleństwo Almayera*, oddzielając *s* od *z*, bez łączenia w *sz*. Było to czytanie samo z siebie, tak wczesne, że aż nieprawdopodobne.

Nie wszystkie Guziki były jednakowo zdolne, ale wszystkie z radością rozpoczęły nowy szkolny okres życia.

Zaczęły się też pojawiać nieznane dotąd kłopoty. Gabrysia nie chciała stanąć do kąta, choć to było jedyne wyjście, gdy bez przerwy obracała językiem, przeszkadzając Alinie. Tadek śmiał się na lekcji, w dodatku tak bazgrał w zeszycie, że Marynia słowa nie mogła przeczytać, a Mirka ciągle o coś pytała, nie zawsze z sensem. Alina zabiegała o porządek w klasie, co było zrozumiałe, gdy jej siostra sprawowała tu rządy dyrektorki i nauczycielki.

– Czy musisz się wtrącać do nie swoich rzeczy? – rozzłościł się Krzysztof, gdy mu Alina schowała encyklopedię Larousse'a.

– Tu nie miejsce na książki niedozwolone. Tu się przynosi książki potrzebne.

– Chcesz powiedzieć, że Larousse jest niepotrzebny?

– Potrzebny, niepotrzebny.., powiedziałam swoje!

– Nie odpowiadasz wprost, wykręcasz się jak śrubka.

Po tej „śrubce" Krzysztof dostał zeszytem po głowie, za co znowu dostało się Alinie od Maryni, która właśnie wchodziła do klasy, bo Krzyś nie przerywając rozmowy, zadzwonił na lekcję punktualnie co do sekundy.

Problem Zuzanny był bardziej skomplikowany.

– Nie byłaś na lekcji – powiedziała Mamurka, gdy Zuzka wróciła do domu i podała list Maryni.

Nie była, prawda, i szukała teraz słów, by powiedzieć jak do tego doszło. Chaos miała w głowie a poczucie krzywdy w sercu i w rękach, które rwały się do bicia.

– Trzeba posłuchać człowieka od jego strony – zaczęła – i drugiego człowieka od jego strony. Nie można słuchać tylko jednego człowieka. Trzeba mieć czas na sprawiedliwość.

– Więc jak to się przedstawiało od twojej strony?

– Oooo! – krzyknęła Zuzanna – ja mu tego nie daruję. Maryni też mam dosyć... Nie odpowiem na żadne pytanie na lekcji.

Cdn.

13

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

SZALONY EKSPERYMENT

ŚWIAT MŁODYCH
MIESIĘCZNIK GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU, ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556)
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk (sekretarz redakcji), Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red.nacz.), Wojciech Wróblewski, Marek Zarębski (z-ca sekretarza redakcji).
TELEFONY:
Red. naczelny – 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A, Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-36-52, informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 687/G Z-25

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-561

Natura nie łamie swoich praw.

Woda, której dotykasz w rzekach, jest ostatkiem tej, która przeszła i początkiem tej, która przyjdzie: tak samo teraźniejszość.

Życie dobrze użyte jest długie.

Leonardo da Vinci

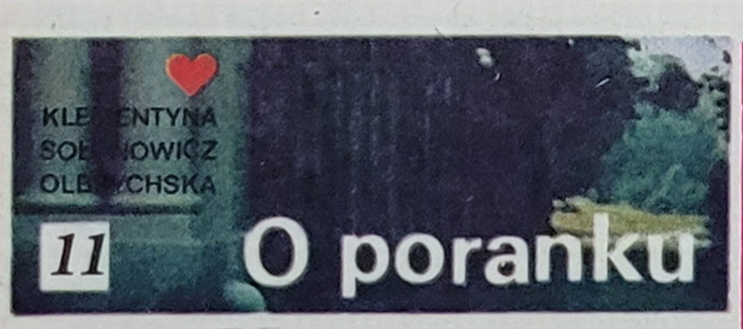

– Chodzimy do pani Ludwiki i gramy w chińczyka – zaczęła Gabrysia, chcąc wyjaśnić początki edukacji.

– Znaczy, czytacie po chińsku? – Tadek nie miał cierpliwości. Był taki, że tylko czekał na okazję do śmiechu.

– I jak pogramy, to zaraz się uczymy. Mogę przeczytać, co mi tylko dasz.

Tak było. Gabrysia nie zmyślała. Pani Ludwika nauczyła czytać Zuzannę i Gabrysię. Mieszkała w tym samym domu i nie ruszała się z łóżka, bo była sparaliżowana.

Łóżko miała przy oknie i ciągle jej się nudziło.

– Poczekaj, chłopczyku – zawołała do Gabrysi, gdy ją zobaczyła pierwszy raz.

Gabrysia stała w płaszczyku z włosami schowanymi pod czapeczką.

– Ja miałam być chłopczykiem – odparła – ale jakoś jestem dziewczynką i to bardzo grzeczną.

Odpowiedź przypadła do gustu pani Ludce. Polubiła Gabrysię, zaprosiła ją do nauki czytania. Przyszła razem z Zuzanną. Tak się zaczęło czytanie dziewczynek, przeplatane zabawą, która bardziej cieszyła nauczycielkę niż uczennice.

Dzieci pani Ludki nie dorosły jeszcze do chińczyka, ani do czegokolwiek. Śliniły się i pełzały po dywanie. Jedno nie umiało nawet dźwignąć własnej głowy. Leżało na brzuchu i dziobało nosem, gdzie popadło, póki nie znalazło pomocy w ciotce, czyli siostrze pani Ludki. Ta była dla domu prawdziwą opatrznością, gdy matka dzieci nie mniejszej od nich wymagała opieki.

Smutne było jej życie, a jedyną rozrywkę stanowiła gra w chińczyka, która przynosiła korzyści obydwu stronom.

– Poćwiczycie się w czytaniu i rozweselicie nieszczęśliwą – mówiła Mamurka.

Nie było to takie proste, bo pani Ludka nigdy nie miała dosyć tej zabawy, która w końcu nudziła Guziki wyrywające się do rozrywek na świeżym powietrzu. Snuł się także przy łóżku chorej zapach walerianki i jeszcze czegoś, co się nazwało Czarem Paryża, a nie musiało każdemu przypadać do gustu.

Pani Ludka miała ręce białe, powleczone skórą cienką jak bibułka. Żyłki były przez nią widoczne, nawet te najmniejsze. Tylko jedna ręka służyła jej do chińczyka, druga nie nadawała się do czegokolwiek.

Chińczyk to nie była gra na żarty. Pani Ludka czuwała, by nie oszukiwano, choć nikt nie miał takiego zamiaru. Pilnowała kostki jak oka w głowie. Chyba też nie miała tych oczu za dobrych, jeśli nie odróżniała piątki od szóstki.

– Rzucaj jeszcze raz! – wołała.

Gabrysi nie chciało się rzucać kostką na nowo, skoro biało na czarnym każdy wyczytał najkorzystniejszą cyfrę – sześć kropek, nic innego. Czasem jednak ustępowała chorej, bo co ona miała ze swego życia, jeśli nawet w chińczyka nie zawsze wygrywała.

Gorzej było z czytaniem. Grę można było skończyć w jakimś szczęśliwym dla pani Ludki momencie, ale książka miała zawsze jakiś ciąg dalszy, niezmiennie przesuwany do coraz innego oddalonego rozdziału. W dodatku Zuzka zawsze znalazła jakiś powód, by pobiec do domu, zostawiając Gabrieli wszystkie obowiązki.

Gdy pani Ludka oznaczała stronę, do której Gabrysia miała czytać, to sytuacja stawała się trudna. Każde słowo musiało być uszanowane. Jednak Gabrysi udało się czasem opuścić nie tylko słowo, ale także całe zdanie. Raz gładko dwie strony ominęła i pani Ludka nie zauważyła, bo zasypiając zaczynała już pykać i poświstywać.

Odtąd dziewczynka wyciągała uszy, patrzyła raz na książkę a dwa razy na panią Ludkę i regulowała lekturę na swoją

Dokończenie na str. 7